Nr. 51. Kraków, dnia 17 grudnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Przed Gwiazdką.

Z prośbą o pamięć o „Tygodniku Narodowym“ zwrócić się musimy do Przyjaciół naszych. Nadchodzą uroczyście w Polsce całej czczone Święta Narodzin Dzieciątka Bożego. Wiąże się z niemi zwyczaj Gwiazdki i użyczania podarków na Gwiazdkę. Wiemy, że każdy sporo ma powodów do kłopotów rozlicznych. Przed świętami zakrzątnięcia w domu trzeba większego, więcej interesów, załatwiań spraw i drobiazgów.

Chcąc tedy ułatwić kochanym Przyjaciołom naszym i Czytelnikom rychłe a natychmiastowe załatwienie interesów, *Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“ załącza przy dzisiejszym zeszycie czeki,* którymi Czytelnicy nasi i Przyjaciele zechcą łaskawie nadesłać przedpłatę na r. 1911. Nie chcemy zbytnio kłopotać pamięci Czytelników, więc też radzimy jak najśpieszniej pozbyć się czeków i posłać je z groszem na przedpłatę do administracyi: Kraków, Wiślna 2.

Przy tem godzi się przypomnieć, że do najstosowniejszych podarków na Gwiazdkę należy zaabonowanie „Tygodnika Narodowego“. Dla znajomych i przyjaciół, krewnych lub członków rodziny, zdala mieszkających, podarek to bardzo stosowny a niezwykle tani. Przedpłatę dla przyjaciół można nadsyłać razem z przedpłatą „Tygodnika“ dla siebie na tych samych czekach, tylko z drugiej strony należy wymienić adres, pod jakim „Tygodnik“ ma być wysyłany.

Przed Gwiazdką więc — prosimy o pamięć!

Ograniczenie praw duchowieństwa.

Zdecydowana jest opinia polska w stosunku duchowieństwa do narodu. Mimo pewnych dążeń do wysunięcia stanu duchownego, albo ponad albo poza społeczeństwo, ogół nasz stał zawsze na stanowisku, iż duchowni i świeccy zakonni stanowią integralną część narodu, posiadającą wobec całości równe prawa, ale i równe obowiązki. Zdajemy sobie dokładnie sprawę z ważności posterunku, jaki duchowieństwo reprezentuje, z wpływów, jakie posiada lub posiadać może, i z znaczenia, jakie przedstawia dla rozwoju naszych stosunków. Cenimy jego zasługi, położone około utrzymywania i rozszerzania polskości, świadomi jesteśmy ofiar składanych nieraz przez nie na rzecz sprawy publicznej.

Dzięki czynnemu udziałowi w naszem życiu społecznem, duchowieństwo zaskarbiło sobie powszechne uznanie i szacunek ogółu. Bodaj-że temu, obok silnie wrodzonej w Polsce wierze i przywiązaniu do kościoła katolickiego, zawdzięczać można, że nie trafiły do uczuć ani przekonań ogółu zakusy wolnomyślicielskie, usiłujące wywołać walkę z Kościołem i wyłączyć duchowieństwo poza nawias życia społecznego i publicznego. Nie widzimy w Polsce szamotań, jakie wstrząsają niemal państwami i narodami zachodniej Europy, a dążenia propagatorów nowinek z Zachodu pozostają u nas bezskutecze, bo za niemi stoją znikomo małe garstki liberałów, pozostających pod wpływami obcymi naszej kulturze i tradycyom narodowym. I jak duchowieństwo bierze udział w życiu całego narodu, tak narodowi nie są obce stosunki, panujące wśród stanu duchownego, tak uczestniczy on w każdym jego bólu i w każdej radości.

Dlatego to właśnie społeczeństwo tak bardzo odczuwa każdy cios w Kościół, każdy gwałt wymierzony przeciw duchowieństwu. Dlatego tak głęboko odczuliśmy tragedyę jasnogórską,

odczuwamy każde prześladowanie rządów obcych na ziemiach polskich. Dlatego z dużemi obawami przyjmujemy wszelkie zmiany w łonie duchowieństwa, pełni niepewności, czy nie godzą one w naród.

W ostatnich tygodniach opinia publiczna w Polsce zaniepokoiła się bardzo dekretem Piusa X., nadającym biskupom prawo przenoszenia proboszczów. Pisma polskie wówczas zwra cały uwagę na niebezpieczeństwo z dekretu wynikające dla duchowieństwa polskiego w Wielkopolsce, o ileby na stolicy gnieźnieńskiej zasiadł Niemiec lub Polak powolny rządowi pruskiemu, na Śląsku Cieszyńskim, podlegającym stolicy biskupiej wrocławskiej, w zaborze rosyjskim, jeśliby rząd rosyjski zdołał przeforsować oddane sobie jednostki.

Jakkolwiek dotąd na szczęście nie zaszły wypadki, które mogłyby potwierdzać słuszność obaw, nie mniej wszakże obawy nie mogą zniknąć, a raczej wzróść bardziej jeszcze, tem bardziej, iż dalsze dekrety papieskie utrudniają tylko sytuacyę.

Oto dekretem kongregacyi konsystoryalnej z dnia 18 listopada 1910 papież Pius X. z powołaniem się na przepisy konsylium trydenckiego *zakazuje klerowi świeckiemu i zakonnemu czynnego udziału w prowadzeniu banków, stowarzyszeń zaliczkowych, kas oszczędnościowych,* mianowicie zakazuje czynności prezesa, przewodniczącego, radzcy, sekretarza, kasyera. Ci, którzy obecnie te godności piastują, mają je złożyć w ciągu 4 miesięcy, a w przyszłości nie wolno im się tych czynności podjąć, bez pozwolenia Stolicy apostolskiej.

Z drugiej strony Papież uznając dobroczynną działalność tych instytucyi finansowych, nietylko poleca, ale *nakazuje klerowi, aby w stwarzaniu i rozszerzaniu takich instytucyi rady i poparcia użyczał,* jednakże bez uszczerbku dla obowiązków swego stanu i godności.

Podobnie jak dekret o przenoszeniu proboszczów, dekret ostatni ograniczający prawa duchownych, nader bolesne znajdzie echo na ziemiach polskich.

W Królestwie Polskiem dekret ostatni odbije się nie tyle na społeczeństwie, ile na duchowieństwie samem. Jakkolwiek duchowieństwo bierze tam udział w życiu kulturalnem, ale w pracy tej czynnikiem wyłącznym nie jest: wskutek odmiennej niż u nas struktury społeczno-gospodarczej kraju warstwa ziemiańska jest bardzo silna i ona spełnie lwią część obowiązków kulturalnych wobec ludu włościańskiego. W dobie obecnej, kiedy nadzieje na zmianę stosunków politycznych w Królestwie zawiodły, ogół, niechętnie i apatycznie odnoszący się do polityki czynnej, całą energię skierował ku zagadnieniom kulturalnym i gospodarczym. Wieś nie mająca dawniej żadnych praw do rozwoju, obecnie w ramach obowiązujących ustaw zyskała minimalne warunki rozwoju; rozbudziło się życie asocyacyjne, powstają, o ile niechętny rząd zezwala, Kółka rolnicze, straże ogniowe, kasy pożyczkowe i oszczędnościowe; jest tam dziś w zarodku to, co u nas rozrosło bujnie.

I właśnie obecnie po przejściach jasnogórskich, które pewne czynniki usiłują zgeneralizować i których starają się użyć jako atutu przeciwko całemu duchowieństwu, czynny jego udział w życiu gromadzkiem, bezpośrednie uczestnictwo w instytucyach, kojących biedę chłopską i podnoszących go ekonomicznie, jest konieczniejsze, niż kiedykolwiek indziej.

W żmudnej pracy mógłby zatrzeć się żal, jaki wyżłobiły w duszy ludu tamtejszego smutne wieści częstochowskie i agitacye radykalne.

Jakie w dekrecie papieskim leży niebezpieczeństwo dla Wielkopolski, nie trzeba się długo rozwodzić. Miesiąca niema, gdy z szeregu pracowników zaboru pruskiego ubył największy: ksiądz Piotr Wawrzyniak. Ten „bohater czynu“ stworzył to, czego Wielkopolsce zazdroszczą inne dzielnice: zorganizował społeczeństwo pod względem gospodarczym. Silne i niezawisłe ekonomicznie, umie nie tylko wytrzymać napór niemiecki, ale u uczonych niemieckich i ideologów hakatystycznych budzić podziw. Banki ludowe, niezmierny ich rozwój, stworzenie ze Związku spółek polskich dużej siły finansowo-gospodarczej — to dzieło żywota jednego duchownego! A w Związek i banki ludowe nie jeden, ani jeden dziesiątek duchownych wkłada swą pracę. Nagłe usunięcie się szeregu pracowników, wobec szczupłości inteligencyi polskiej po wsiach, może mieć nieprzewidziane skutki. Boć duchowny tamtejszy, nie tylko inicyator myśli jakiejkolwiek, ale jej wykonawca gorliwy, pracownik i wzór dla innych pracowników.

Toż samo widzimy w zaborze austryackim, czy w Galicyi, czy na Śląsku, czy na Bukowinie. Terenem najwydatniejszym jego działania jest wieś: o wpływie, jaki duchowny wywierać może, niema dwu zdań. Zarówno jego urząd, jak i ta okoliczność, że jest we wsi jednostką najbardziej inteligentną, dają mu szerokie pole działania. Stanowi on nie tylko na wsi, ale i w miastach wybitny ośrodek życia społecznego. Objawia się to i w tem, że w wielu instytucyach finansowych

piastuje wybitne godności. W sprawozdaniach Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych nazwisk księży spotkać można wiele. Rocznik spółek oszczędności i pożyczek (kas Raiffeisenowskich) za r. 1909 na 970 istniejących spółek wykazuje księży: 522 w charakterze przełożonego zarządu, 31 w charakterze kasyera, 173 w charakterze przewodniczących rady nadzorczej; cyfra pierwsza jest bardzo charakterystyczna, bo dowodzi, że znaczna większość spółek oszczędnościowych, tak silnie oddziaływujących na wieś naszą, jest kierowana przez księży, a pamiętajmy, że to stanowisko — jak „Rocznik" podnosi — „wymaga ze strony pracujących wiele bezinteresowności, poświęcenia i zrozumienia właściwych celów i charakteru spółek i pracy asocyacyjnej". A rzeczą notorycznie znaną jest, że w tych miejscowościach, gdzie duchowieństwo pełni obowiązki obywatelskie, cieszy się tym większym szacunkiem otoczenia.

Dekret listopadowy o tyle wiąże się z dekretami poprzednimi, że władze duchowne (zwłaszcza niemieckie) mogą wyzyskać swe prawo przenoszenia wobec tych proboszczów, którzyby zbyt gorliwie zajmowali się życiem gospodarczem parafian. Bo dekret papieski podkreśla znaczenie pracy asocyacyjnej i nakazuje klerowi współdziałanie z nią: zajść mogą wszakże tutaj nieprzewidziane kolizye, zależnie od władzy biskupiej.

Jakkolwiek rzeczy się mają, omówione wyżej dekrety kongregacyi konsystoryalnej budzić muszą duże zaniepokojenie; doprowadzić bowiem one mogą do wyeliminowania duchowieństwa z nurtu życia publicznego, co nader szkodliwie odbiłoby się na samem życiu publicznem. — Nie można nie wspomnieć, że taki stan rzeczy mógłby się odbić także na duchowieństwie samem. A nam przecie w Polsce powinno zależeć na powadze i wpływie i Kościoła i duchowieństwa.

Piszę te słowa po namyśle głębokim, aby dać wyraz zaniepokojeniu, jakie mną owłada. Wierzę, że podobne myśli zrodziły się u niejednego Czytelnika, rejestrującego pilnie zjawiska życiowe. Może głos ten dojdzie do sfer kompetentnych, które niechybnie udzielą odpowiednich wyjaśnień.

St. Browski.

Podając artykuł powyższy, pochodzący od jednego z pracowników społecznych, chcieliśmy dać wyraz uczuciom, jakie społeczeństwo żywi względem duchownych. Nie możemy nie wspomnieć, że obawy Sz. Autora nie są w zupełności uzasadnione. Jak Redakcya miała sposobność dowiedzieć się z ust jednego z naszych Dostojników kościelnych, *dekret ostatni zawiera klauzulę, mocą której księża mogą* w odpowiednich warunkach, za zezwoleniem Stolicy Apostolskiej, w pracach stowarzyszeń oszczędnościowych *brać udział.* I to usłyszeliśmy, że dekrety ostatnie nie są wcale wymierzone przeciw Polsce. — Red.



MIEJMY ODWAGĘ.

Historya nasza posiada wiele kart bardzo pięknych, świadczących, iż kultura czyli wychowanie społeczne kwitło u nas oddawna. Były wielkie braki pod wieloma względami, lecz w porównaniu z innemi krajami Europy i ze względu na częste napady tatarskie, krzyżackie i inne, np. szwedzkie, rozwój kultury był utrudniony, a jednak nie ustawał. Dziś, pomimo trudnych warunków bytu, które kraj nasz i jednostki stawiają w ciężkiem nieraz ekonomicznem położeniu, nie brak silnych dążności do rozwoju ciągłego na polu kulturalnem. Mamy uczonych, mamy ludzi, którzyby pragnęli zapewnić szczęście i dobrobyt krajowi. Ale zresztą, jak nietylko u nas, jest wielką liczba ludzi, którzy będąc materyalnie niezależnymi, dbają wyłącznie o swój własny tylko interes. Tacy ludzie, stojący często na stanowiskach wybitnych, uprawiają lichwiarstwo, wyzysk, protegują tylko tych, których mają interes protegować, bez względu na zasługi. Mydlą, jak się mówi, oczy społeczeństwu, aby ciągnąć jak największe zyski materyalne.

Z tego powodu potrzeba nam więcej, niż innym narodom krytyki, krytyki głębszej, nie dającej się otumanić. Potrzeba wydobywania prawdy na wierzch i piętnowania wszelkich złych czynów, które szkodzą społeczeństwy. Piętnowania głośno. Jeżeli kupiec wleje wody do butelki, na której

napisano, że to wino, każdy go uzna za oszusta, bo się na tem pozna. Więc ludzi wszelkich, którzy są takiemi butelkami, o ile swoje fałszywe etykiety przedstawiają ogółowi publicznie, demaskujmy i o wartości ich głośmy śmiało, bo inaczej źle ogółowi.

Wincenty Krzemień.



Z dni smutku.

Niema nikogo na tym świecie,
ktoby zlitował się nademną,
wokoło duszy mojej ciemno,
wiatr mną, jak zeschłym liściem, miecie.

Wpośród walk życia i roztoczy
w przyszłości widzę przestrzeń pustą:
niema ust drogich moim ustom,
źrenic wpatrzonych w moje oczy.

Gdy mnie otoczy wiotkie ramię,
albo kobiecy szept upoi,
wiem, że to czar fantazyi mojej,
któremu rzeczywistość kłamie.

Kłamstwo, ohyda i fałsz wszędzie,
we mnie, wkoło mnie i przedemną,
dokoła duszy mojej ciemno
i wiecznie pewno już tak będzie.

Jan Iwański.



Henryk Sienkiewicz.

Jako się pan Lubomirski nawrócił i kościół w Tarnowie zbudował.

(Wedle ludowego podania).

Kiedy się Pan Jezus w Betlejem narodził, pan Lubomirski z Tarnawy był jeszcze lutrem. — Ale że był człek mądry i przemyślny, a zasłyszał, że Dzieciątko Jezus bardzo nierade widzi lutrów i rozmaitych innych heretyków, zaczął więc w głowę zachodzić, jakby się przekonać, czy to prawda.

Stangret, Krakowiak, co go w cztery konie woził, mówił mu, że najprostsza rzecz będzie do bryki założyć, pojechać do Betlejem, i tam dokumentnie Najświętsze Dzieciątko wypytać. Na nieszczęście pan Lubomirski długo przedtem z Turkami wojował i tyle pieniędzy na wojsko wydał, że w końcu i Tarnawę u żydów zadłużył, z której to przyczyny nie miał na drogę nie tylko do Betlejem, ale nawet i do Krakowa.

Myśli tedy, myśli i myśli, jakby tu sobie poradzić, aż jednego dnia przychodzi do niego stary, wędrowny dziad i powiada mu tak: „Daleko stąd (powiada), na zachód słońca, jest Babia Góra, taka wysoka, że cień od niej na siedem mil pada. Na samym wierzchu tej góry mieszka okrutnie bogata czarownica, która dla „Jancychrysta“*) koszulę szyje. Co rok jeden tylko ścieg wolno jej zrobić, ale kiedy koszulę skończy, wtedy się jancychryst z niej narodzi i ze świętą wiarą wojować pocznie. Puścić, (powiada), to wiedźma każdego do siebie puści i pieniędzy pozwoli mu zabrać ile udźwignie, jeno nigdy ludzie nie widzieli, żeby kto wrócił“. — „Czemu tak?“ — pyta pan Lubomirski. „Dlatego, (mówi dziad), że jej straszne smoki i rozmaite gady strzegą, więc jak kto wraca, to go gonią, nim z cienia wyjedzie, to na drobne szmaty go rozedrą“. Począł się pan Lubomirski w głowę drapać, bo bardzo mu się te smoki i gady nie spodobały, a pieniądze chciał mieć. Ale po odejściu dziada przyszło mu do głowy, że skoro są tacy, którzy i samego potrafią w pole wywieść dyabła, to przecie na tę gadzinę z Babiej Góry musi być jakiś sposób. Głowił się dzień, głowił drugi i trzeci, wreszcie powiedział sobie: „albo starosta, albo kapucyn“ i pojechał.

Wziął siedem koni dobrych, ścigłych i pierwszego przywiązał do drzewa w tem miejscu w którem się cień od Babiej Góry zaczyna, drugiego o milę wyżej, trzeciego znowu o milę i tak aż do szóstego — dopiero na siódmego wsiadł i ku czarownicy na nim pojechał.

Jedzie tedy, i rozgląda się na prawo, rozgląda na lewo, aż tu leżą jak kłody między kosówką, to smoki paskudne o trzech głowach, to węże ogromne, to rozmaite żmije i padalce. Ten i ów podniesie czasem łeb, zasyczy, zębami klapnie, ale nie mówią mu nic. — „Hej, (myśli pan Lubomirski), żeby to były zwyczajne smoki i węży, możnaby im mieczem łby porozwalać, ale przeciw piekielnym mocom szabla na nic — i trzeba będzie chyba z babą coś wskórać, bo inaczej żywy nie wrócę“.

---

*) Antychrysta.



Poranek zimowy.

Dojechał wreszcie do szczytu i patrzy: siedzi straszna jędza-piekielnica, koszulę szyje. Zsiadł pan Lubomirski z konia, pokłonił jej się po kawalersku i tak grzecznie do niej powiada:

„Jak się masz, (powiada), stary wiechciu od butów, — przyjechałem tu po twoje skarby, bom swoje na wojnę wydał, a teraz mi na drogę potrzeba. Dasz, dobrze — nie dasz, też dobrze, — jeno nie marudź, bo mi okrutnie pilno". Roześmiała się na to baba tak, że aż pan Lubomirski ostatni jej i jedyny trzonowy ząb zobaczył — i mówi: „Oj-jej! dlaczego nie, oto widzisz tu w workach koło mnie złoto, perły i dyamenty, bierz ile chcesz, ale pierwej napij się ze mną wina prze zdrowie". I wzięła zaraz dwie szklenice, nalała z jednego gąsiora do jednej, z drugiego do drugiej i powiada: „Chajm". Ale pan Lubomirski, któren, jako się rzekło, był człek mądry i przemyślny, widząc, że baba nie z tego samego gąsiora w obie szklenice leje, zaraz zrozumiał, że musi być w tem jakaś podrywka. Począł tedy głową kręcić i patrzyć tak, jakby coś za babą zobaczył. — „Czego się rozglądasz?" — pyta baba. „Bo się mgły rozstąpiły i krzyże na kościołach w jakowemś mieście widać". Zlękła się wiedźma: „Gdzie?" — pyta. „A, za twojemi plecami". Baba obróciła się całkiem i przykryła oczy ręką, a pan Lubomirski prędko przemienił szklenice. „Ej, co też gadasz — mgła jak żur gęsta" — mówi jędza, a on na to:

„Tak mi się uwidziało". Wzięła jędza znów szklanicę: „Chajm". „Siulim" — wypili. Ledwo wypili — bęc baba na plecy i zasnęła twardym snem.

A pan Lubomirski łap za złoto, cap za perły i dyamenty, na koń i w nogi. Leci, leci, dopada do tego konia, co był o milę uwiązany — hop na siodło — i wio dalej. A tymczasem rozbudziła się piekielnica, bo dla niej trzeba było mocniejszej jeszcze przyprawy — i nuż się drzeć:

„Huź, smoki, huź, węże, huź, żmijce i padalce! gońcie i rwijcie tego rycerza, co ze skarbami mojemi, przyszłego syna „Jancychrysta" ucieka". Dopiero, kiedy nie zakłębi się w górach, kiedy nie ruszą się potwory, aż się bór począł, jak od wiatru kołysać. Dopadają pierwszego konia, rwą go na drobne szmaty, że tylko kości w zębach im chruszczą — zjadły.

Pędzą dalej, bo baba krzyczy na mitręgę — aż oto drugi koń. Rozerwały go też jako mogły najprędzej i zżarły razem ze siodłem. Widzą potem trzeciego — zżarły, widzą czwartego, zżarły. Ale że namarudziły się coś nie coś przy każdym, więc, gdy zżarły szóstego, już pan Lubomirski wyskoczył na siódmym z cienia, kiedy Babia Góra na siedem mil od południa ku północy rzuca.

Obrócił się tedy ku nim i nuż drwić: „Całujcież teraz psa w nos!" A one wspinają się, kłębią, szczerzą zęby, charczą, ale im za cień nie wolno. Jedna tylko żaba hycnęła z takim rozpędem, że się już nie mogła wstrzymać i skoczyła panu Lubomirskiemu na ramię. Ale on się jej bynajmniej uie przestraszył, naprzód dlatego, że się wcale nie bał, a powtóre, że gdy słońce na nią padło, poczęła na poczekaniu dębieć.

— Tuś, ropucho — powiada do niej pan Lubomirski.

A ona jęła go prosić pokornie:

— Wrzuć mnie — prawi — do cienia, bo inaczej skamienieję ze szczętem, a ja ci za to powiem prawdę na każde pytanie, które mi zadasz.

Zamyślił się więc rycerz przez chwilę, a potem do niej:

— Z piekła jesteś?

— Z piekła.

— Powiedz mi tedy, jakiej wiary najbardziej się w piekle boicie?

— Taką rzecz do ucha ci tylko mogę powiedzieć, bo gdyby to gadziny usłyszały, to choćbyś mię potem w cień wrzucił, zarazby mnie zagryzły.

I poczęła mu szeptać do ucha, a pan Lubomirski słuchał, słuchał, poczem wziąwszy żabę, rzucił ją do cienia i tak rzekł do swojej własnej duszy:

— To już teraz nie potrzebowałbym do Betlejem jechać Dzieciątko o prawdziwą wiarę pytać, ale pojadę, by mu się czołem do świętych nóżek pokłonić.

Po drodze zobaczył, że i Trzej Królowie na piechotę tam idą, więc im się do kolaski przysiąść pozwolił, za co podziękowali pięknie i obiecali syna, co mu się miał narodzić, do chrztu trzymać.

A w Tarnawie, za skarby Babie-Jędzy zabrane, stanął wielki kościół, w którym dotychczas nabożeństwo na chwałę Bożą się odprawia.

„Kocham„ to znaczy: chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną;
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.



Podarek gwiazdkowy dla siostrzyczki od braciszka.

Dawne kary na oszukańczych kupców.

Biedni ludziska, którzy muszą udawać się na targi po zakupno wszelakich wiktuałów, są ustawicznie narażeni na oszukańcze eksperymenty ze strony handlarzy, którzy sprzedają im za drogie pieniądze złe artykuły spożywcze jak: zepsute jaja, rozwodnione i mąką zaprawione mleko i śmietanę, fałszowane masło itp. Skargi takie słyszymy niemal codzinnie...

Oszukańcze te eksperymenty przekupniów nie są jednak wymysłem naszych dni, lecz skargi na nie powtarzały się już za owych starych dobrych czasów. Już w roku 1481 wnieśli mieszkańcy francuskiego miasteczka Ambert skargę do władz, aby pociągnęły do odpowiedzialności oszukańców i w ten sposób położyły kres awanturom i bójkom, jakie wskutek tego wywiązują się między obywatelami a przekupniami. Wówczas władze wydały następujące rozporządzenie:

Każda przekupka, która sprzedając rozwodnione mleko, ukarana zostanie w ten sposób, że



CMENTARZ ŻYDOWSKI POD KRAKOWEM.

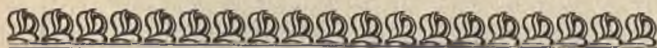


Narzeczona lwa.

włoży się jej lejek w usta i będzie się w nią lać mleko w takiej ilości, jaką według orzeczenia lekarza wytrzyma bez niebezpieczeństwa dla życia.

Każdy przekupień, który sprzedaje masło, wkłada do niego ziemniaki, kamyki itp., aby zyskało na wadze, zostanie publicznie przywiązany do pala. Następnie położy się mu na głowę kawał masła, które tak długo będzie ogrzewane promieniami słońc, aż się rozpłynie, wówczas publiczność może przyprowadzić psy, aby się rozkoszowały tem spływającem masłem. W czasie niepogody roznieci się obok pala ogień, który ma spełniać taką funkcyę, jak w powyższym wypadku słońce.

Każdy handlarz, sprzedający zepsute jaja, będzie postawiony pod pręgierzem, a zepsutemi jajami mogą sobie dzieci dla zabawki rzucać na twarz i odzienie delikwenta... Takie to były przepisy za owych dawnych, dobrych czasów...



NASZE SZCZĄTKI.

Jak ziemia długa i szeroka, od najdawniejszych czasów człowiek oddawał cześć zwłokom podobnych sobie istot i grzebał je, lub palił, słowem usuwał je w taki lub owaki sposób z pewnego rodzaju poszanowaniem.

Między zaś rozmaitymi sposobami obejścia się z ciałem umarłych, najdawniejszem niewątpliwie jest pogrzebanie.

Zwyczaj grzebania rodzin w jednem miejscu wskazany był zapewne przez chęć nierozdzielania tych, którzy w życiu połączeni byli z sobą ścisłymi związkami.

Grecy i Rzymianie nie wierzyli, aby dusza mogła być spokojną i szczęśliwą, dopóki ciało nie zostanie pogrzebane albo spalone. Ateńczycy doszedłszy szczytu pomyślności, sześciu wodzów zwycięskich na śmierć skazali wskutek oskarżenia, iż zaniedbali oddać ostatnią posługę żołnierzom w jednej bitwie poległym.

Zwyczaj palenia ciał umarłych, sięga czasów bardzo odległych. Ten zwyczaj trwa dotąd w Indyach, Japonii, Tartaryi i innych stronach Wschodu. Później upowszechnił się w niektórych stronach północnej Europy. Przyjęli go Rzymianie i Grecy, nie wyłączając jednak prostego grzebania. Niektóre dzikie ludy wystawiają ciała na powietrze, starożytni Scytowie przywiązywali je do drzew, a za dni naszych, mieszkańcy Otahajty i innych wysp Oceanu Spokojnego kładą je pod małe szałasy otwarte i także działaniu powietrza zostawiają. Tego zwyczaju nie można przypisywać obojętności, gdyż nad temi szczątkami czuwają z wielką starannością.

Starożytni mieścili swe groby w miastach, w polach, a nawet przy wielkich drogach. Ta sama rozmaitość panowała w tym względzie u Greków i Rzymian, choć zazwyczaj ludy te chowały umarłych za miastem. W Rzymie tylko czyniono wyjątek dla westalek i rodzin najznakomitszych. Turcy zakładają cmentarze przy głównych drogach, w nadziei, że podróżni modlić się będą za tych, co już swą wędrówkę doczesną odbyli. Egipcyanie składali ciała zabalsamowane w podziemiach, Indyanie powszechnie rzucają popioły do Gangesu. Gwebrowie, potomkowie dawnych Persów, wystawiają ciała ptastwu na pastwę.

Obrzędy pogrzebowe są najróżniejsze.

Drobne państwa greckie miały szczególne swoje obrzędy. Grecy pierwsi używali napisów na nagrobkach i wprowadzili zwyczaj czczenia pamięci wielkich ludzi przez wspaniałe pogrzeby, których wydatki skarb publiczny ponosił.

Rzymianie kładli w usta umarłym pieniążek na zapłacenie za przewóz na tamten świat. Prywatne pogrzeby odbywały się zwykle w nocy, publiczne w dzień i to z wielką okazałością. Liktorowie czarno ubrani przewodniczyli licznemu orszakowi, poprzedzonemu śpiewającemi płaczkami. Po mowie pogrzebowej, miewanej czasem w forum krewni zapalali stos i zbierali popioły w urnę złożoną potem w grobowcu. W niej umieszczano także małą flaszeczkę, napełnioną łzami i stąd nazwaną „lacrimatorium“ (łzawica).

Indusowie wystawiają ciała na wolne powietrze; pokrapiają je wodą Gangesu, a w usta, oczy i uszy zmarłego wkładają korale lub złoto; poczem wynoszą ciało nad brzeg rzeki, gdzie wznosi się stos olbrzymi. Krewni stos podpalają, leją nań wodę czerpaną rękami, potem siadłszy w koło, odmawiają modlitwy. Ofiary trwają przez dni dziesięć, w końcu najbliższy krewny grzebie kości, które później wydobyte, wrzucone bywają do świętej rzeki. Często na miejscu stosu zasadzają dla pamięci trzy drzewa, lub wykopują studnie. Anglicy dotąd nie mogą w Indyach w zupełności wytępić okrutnego zwyczaju palenia żon na stosie mężów. Zwyczaj ten panuje u wielu ludów pogańskich, mianowicie też w Afryce.

Wesoła jazda.

Dogmat mahometanów o przeznaczeniu nakazuje im wstrzymywać się w żalu. W kilka godzin po śmierci, prowadzą zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku, odmawiając stosowne ustępy z Koranu. Przechodzący łączą się z orszakiem wiedząc, iż za tę pobożność winy im będą odpuszczone. Ciało kładą na prawy bok, głowa odwróconą do Mekki. Groby często odwiedzane pokrywają kwiatem i drzewkami.

Chińczyk, skoro się tylko ożeni, zajmuje się zaraz wybudowaniem grobu o ile możności najwspanialszego. Ten grobowiec mieści się zwykle przed wejściem do domu, aby zawsze dzień śmierci przypominał. Chińczycy podobnie jak Grecy i Rzymianie obchodzą dzień śmierci krewnych i przyjaciół wszelkiego rodzaju igrzyskami i zabawami. I oni nie mniej łożą na piękne grobowce, które skwapliwie gościom pokazują. Zdobią je malowidła, rzeźby i napisy. Umarłym dają do grobu ubiory na wszystkie pory roku, tudzież dostatek żywności. Dzicy w Indyach wschodnich wielce się starają, by spoczywać przy grobach swych ojców, dlatego zdarza się, że kości zmarłego zaszyte w skórę jelenią w dalekie strony przenoszone bywają. Zabijanie ludzi, zwyczajne jest w Afryce przy pogrzebach naczelników pokoleń i wodzów. Kobiety, niewolnicy i jeńcy padają wtedy ofiarą; z niemi rzucają broń, ubiory i skarby. Okropny przesąd każe im wierzyć, że cienie ojców cieszą się z podobnych ofiar. Dzikie i mało oświecone ludy wyobrażają sobie życie przyszłe na obraz obecnego, więc dają do grobu broń, żywność i pieniądze.

Kościół Chrystusowy wprowadził do grzebania zmarłych sporo obrzędów i zwłoki jako przybytek duszy nieśmiertelnej, poszanowaniem otacza. Poszanowanie to, o ile dotyczy szczątków mężów i niewiast świetnych, zamieniają się w część religijną, jaką oddajemy relikwiom.



Kapelusz panny Stasi.

Panna Stasia była piękną jak poranek wiosenny, a łagodną jak zefirek, miała dziewiętnaście lat i serce czułe nie tylko dla żyjących poruczników, ale także dla poległych bohaterów powieściowych; do pierwszych słodko uśmiechała się, nad drugimi gorzko płakała. Rodziców kochała bardzo, ale zdaje mi się, że jeszcze więcej kochała swój duży modny, wspaniały, kapelusz paryski.

Panna Stasia miała dobry gust i poczucie piękna. Gdyby ktokolwiek poprosił ją o zawieszenie w uszach, zamiast kolczyków, parę ładnych wypchanych myszek, obraziłaby się niechybnie, ale za to na kapeluszu miała ptasiego trupa z rozpostartemi skrzydełkami i znajdowała wraz z przyjaciółkami, że to wygląda „wspaniale". W dzisiejszych czasach nie zwróconoby na to najmniejszej uwagi, gdyż obecnie prawie wszystkie panie, używają tej ozdoby na głowie, ale niniejsza historya miała miejsce kilkanaście lat temu, a wtedy ludzkość była zacofaną, panienki miewały głupie, nie wyrobione, czułe serduszka, któreby im nie pozwalały patrzeć bez łezki w oku na biednego ptasiego trupka i — jeszcze wogóle nie pojmowano, że przyozdabianie kapeluszy trupami, należy do dobrego tonu...

Panna Stasia udała się pewnego razu w odwiedziny do wujostwa na wieś, do miejscowości, gdzie kapelusze paryskie ukazywały się zazwyczaj wtedy, kiedy liczyły pięć do sześciu lat swego istnienia. Staruszka — ciotka oczekiwała na ganku przybycia siostrzenicy z otwartemi ramionami i kiedy Stasia zbliżyła się, ażeby ją przywitać, zaczęła wywijać do koła rękami, wołając ze zdziwieniem na miłej swej twarzy: „Sio! sio! sio!" — „Co się stało cioteczk?" zapytała Stasia. „Ależ moje dziecko usiadł ci na kapeluszu jakiś brzydki ptak, może cię jeszcze powalać!... A sio, a sio, co za przebrzydłe stworzenie, wcale się nie boi!„ — „Cioteczko, ten ptak należy do kapelusza i pochodzi z Paryża"... — „Nie pojmuję, jak możesz nosić coś podobnie brzydkiego!" — Brzydkiego?! ten kapelusz kosztuje o ośm koron drożej, aniżeli taki sam bez ptaka." — „Ośm koron! a ja sprzedaję żywe kurczęta, prawdziwe Bramaputry, po koronie za sztukę! Ale pozwól dalej moje dziecko".

W salonie przywitał Stasię wujaszek. Był to ruchliwy staruszek. Ucałował on serdecznie siostrzenicę w oba policzki i oznajmił, że właśnie zaprosił na obiad kilka osób z sąsiedztwa z powodu tak miłego gościa.

Wujaszek był uosobieniem dobroci, miał tylko jedną małą wadę — był trochę samolubem. Skoro ujrzał coś szczególnego, nigdy nie pytał innych o zdanie, tylko zawsze sam wyprowadzał wnioski o danym przedmiocie. Przy obiedzie zagaił rozmowę temi słowy: „Istotnie to podziwu godne, jak blaga i reklama rozwijają się w naszych czasach. Tak! tak! niezadługo zostaniemy pod tym względem prawdziwymi Amerykanami. Chyba państwo wiecie, że zagranicą niektóre magazyny ubierają darmo, ładnie prezentujących się mężczyzn, a w zamian umieszczają im na plecach swoją firmę: cha! cha! cha! I kiedy dzisiaj zrana przybyła nasza kochana Stasia, wyobraźcie sobie moi państwo, spostrzegam na jej kapeluszu małe rasowe kurczę. Nie pytałem się Stasi co ono oznacza, gdyż ze zwykłą moją spostrzegawczością doszedłem do wniosku, że tu chodzi o zakład wylęgarni kurcząt, który w ten sposób reklamuje swój towar. Wnoszę twoje zdrowie, Stasiu i jednocześnie wyrażam ci słowa uznania za to, że oszczędzasz ojcu wydatków na kapelusze. Ile też dopłacają ci miesięcznie za ten szyld, co?" — „Jaki wujaszek nie dobry! to nie żadne rasowe kurczę, lecz ładny zagraniczny ptaszek, służący jako ozdoba do kapelusza" — objaśniła panna Stasia, prawie ze łzami w oczach. — „O - zdo— ba!" — wyjąkał wuj Michał i tak był zdumiony, że w roztargnieniu posolił konfitury, zamiast sałaty. — „Wybacz mi moje dziecko".

Panna Stasia była bardzo zadowoloną z pobytu na wsi i prawie codzień odbywała wycieczki w miłem towarzystwie. Najweselszą była, skoro znalazła się sam na sam z młodym przystojnym człowiekiem z sąsiedztwa, dziedzicem ładnej wioski, na wąskiej ścieżce, na łódce, lub też na wózku. Oczekiwała tylko, że on „coś powie"; on zaś tylko czekał na odwagę. Aż nareszcie pewnego wieczora, podczas jednej z przejażdżek, kiedy księżyc był w pełni, a młoda para odłączyła się od reszty towarzystwa, w ruinach starego zamczyska, celu owej wycieczki, pan Juliusz, pałający gorącą miłością, zaczął temi słowy: „Droga panno Stasiu! nareszcie mogę wypowiedzieć, jak wysoce".... W tem jakiś niezwykły szmer dał się słyszeć nad głowami młodej pary, i chwilę później stara sowa wpiła swe ostre pazury w kapelusz panny Stasi i jęła gorliwie dziobać zagranicznego ptaszka. Panna Stasia rozgniewała się bardzo na sowę, gdyż reszta towarzystwa, usłyszawszy zamięszanie, zaraz znalazła się obok młodej pary, a pan Juliusz nie mógł dokończyć oświadczyn. Był on

trochę przesądnym i nie chciał już rywalizować z sowami starego zamczyska o serce swej królowej. Czyż można ganić go za to?

Wujostwo byli bogaci i bezdzietni, przywykli do Stasi i pokochali ją całem sercem. Pewnego wieczora siedział staruszek ze Stasią na ławce w ogrodzie pod jabłonią i rozmawiał na razie o rzeczach obojętnych, potem zaczął gładzić jej jedwabiste włosy i rzekł: „Moje drogie dziecko, ciotka i ja postanowiliśmy przeznaczyć ci wszystko, co pozostanie po naszej śmierci i dzisiaj zrobimy testa...“ Na jabłoni coś zaszeleszczało i chwilę później duży kot ogrodnika znalazł się na głowie panny Stasi, podrapał ostremi pazurami niemiłosiernie jej twarz, i namiętnie zaczął rozrywać ptaka na kapeluszu, który właśnie był powodem tego zamachu. Skądże mógł on wiedzieć, że ptak był z Paryża.

Po tem przejściu panna Stasia zachorowała i musiała położyć się do łóżka. Z powodu ogólnego zamieszania, tego wieczoru nie zrobiono testamentu, a nazajutrz rejent, który miał go sporządzić, udał się na czas dłuższy w ważnych interesach do stolicy, całą sprawę odłożono zatem do następnych odwiedzin Stasi, a wtedy — wuj już nie żył i spadek przypadł w równej części wszystkim spadkobiercom. Ale wtedy panna Stasia, „łagodna“ panna Stasia, wściekała się ze złości, dwanaście chustek do nosa oblała gorzkiemi łzami, zdarła z kapelusza ptasiego trupa i zaczęła obrachowywać, ile ją kosztował: ośm koron gotówką, plus pan Juliusz, plus testament wuja Michała. Wydało się jej, że to trochę za dużo i nazajutrz został ptaszek pogrzebany w ogrodzie.

Obecnie panna Stasia wykłada na pensyi historyę naturalną — jest dobrą nauczycielką i często miewa dla swych uczennic popularne pogawędki. Oto co wygłosiła podczas ostatniego egzaminu: „Szczególniej muszę zwrócić waszą uwagę, moje drogie przyjaciółki, na głupią modę wśród naszej tak zwanej płci pięknej. Głupia ta moda pochłania rocznie miliony najpiękniejszych i najpożyteczniejszych śpiewaków, o których życiu i zwyczajach była tu przed chwilą mowa. — I nie dość na tem: śmierć, o którą ich przyprawiamy, bywa zwykle powolną i połączoną ze straszliwemi męczarniami. Bądź bywają one trute, bądź giną w sidłach głodową śmiercią, — jest to więc niegodnem nas kobiet wykształconych, byśmy poświęcały nasze uczucia dla wybryku mody, oraz stawały się powodem męczarni i śmierci tych kochanych skrzydlatych śpiewaków. — I trudno pojąć, jak może marzyć kobieta o wesołej przyszłości we własnem gniazdku, skoro nosi na głowie trupa małej ptaszyny, istoty, wyrwanej z gniazda stroskanej matce“.

Po skończonym egzaminie wyszłam na ulicę za dwoma młodymi ludźmi i słyszałam, jak jeden z nich mówił: „Co za sentymentalna deklamacya o ptakach! Więcejby ona na pewno nie odczuła, gdyby jaki złoczyńca wtargnął na pensyę i wymordował połowę uczennic!“ — Jego towarzysz palił cygaro, puszczał kłęby dymu i szedł zamyślony, wreszcie odpowiedział: „No tak, trochę przesadziła, ale w każdym razie było w tem, co mówiła, dużo prawdy i zdrowego sensu. Co prawda, zawsze zdawało mi się, że ptaki na kapeluszach, to brzydki wynalazek, i muszę poprosić narzeczoną, by zdjęła tę ozdobę ze swego kapelusza. — Zresztą, kto wie, jak dalece starannie są one wypchane i przyznam się, że byłoby to mniej przyjemnem, gdyby człowieka oblazło robactwo podczas spaceru, kiedy szepcze słowa miłości do ucha swej ukochanej“. — „Tak, i przytem płacić ośm lub dziesięć koron za zdechłego wróbla...“ — „I mieć za rywalów wszystkich okolikotów...“



DLA ROZRYWKI

Siła głosu.

Że siła głosu ludzkiego jest wielką, o tem wiemy. Podania twierdzą, że głos ludzki jest w stanie poskromić dzikie zwierzęta, doświadczyliśmy też dość często na samych sobie w czasie koncertów lub na operze, że dźwięk głosu ludzkiego posiada jakąś dziwną potęgę. Ale żeby potęga ta była aż tak wielką, ażeby mogła tłuc kieliszki, to chyba jest rzeczą zupełnie nową. Jednakże tak jest w istocie — głos rozbija szkło, o czem przekonać się można z niżej podanego opisu.

Obwiedź dokoła brzegu cieńkiej szklaneczki lub kieliszka końcem palca, uprzednio zwilżonego i wtedy zaśpiewaj ton taki, jaki szklaneczka z siebie wydaje, dobitnie (prawie z krzykiem) w otwór szklanki. Ta ostatnia, jeżeli ton był dobrze oddany, pęknie na drobne kawałki, wskutek oporu, jaki napotkają drgania głosu. Lablache znakomity basista francuski, w ten sposób, na pewnem zebraniu, potłukł wszystkie szklanki, jakie mu podano.



Trudna przeprawa.

Trzech mężów zazdrosnych pragnie się przeprawić ze swemi żonami przez rzekę i chcą w tym celu użyć łódki, która jest tak małą, że może pomieścić tylko dwie osoby. Pytanie: jak się mają przeprawić ażeby żadna z kobiet nie została w towarzystwie mężczyzn podczas nieobecności swojego męża?

Nazwijmy mężów zazdrosnych dużemi literami A. B. i C., ich żony zaś — odpowiedniemi małemi głoskami *a, b, c.*

Będziemy wtedy mieli do przeprawienia:

Prawy brzeg.				*Lewy brzeg.*	
C	B	A	.	.	.
c	b	a	.	.	.

I rozwiązanie zadania tak się przedstawi:

C	B	A	.	.	.
c	.	.	.	b	a

Czyli, że najprzód przeprawiają się dwie panie. (I)

II. Jedna z pań wraca i zabiera trzecią

C	B	A	.	.	.
.	.	.	c	b	a

III. Jedna wraca i zostaje z mężem, a dwaj odjeżdżają.

C	.	.	.	B	A
c	.	.	.	b	a

IV. Jeden mąż wraca ze swoją żoną, którą zostawia na prawym brzegu, sam zaś przeprawia męża drugiej pani.

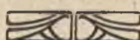
.	.	.	C	B	A
c	b	.	.	.	a

V. Pani wraca i przewozi jedną ze swych towarzyszek, pozostałych na prawym brzegu.

.	.	.	B	B	A
c	.	.	.	b	a

VI. Jedna z pań wraca po ostatnią towarzyszkę.

.	.	.	C	B	A
.	.	.	c	b	a



Trylion.

Ile czasu potrzeba na doliczenie do tryliona? Trylion! Łatwo się wymawia. Jak to milion milionów — i to wymówić nie trudno. A jednak nie ma się nawet pojęcia o tem, jak wielką jest ta cyfra.

W jedną minutę można, licząc szybko, doliczyć najwyżej do 200, co na godzinę wyniesie 200×60=12,000, na dobę 12,000×24=288,000 na rok, licząc go za 365 dni, 288,000×365=105,120,000. Przypuśćmy, że Adam zaczął liczyć od początku świata i że liczył do dnia dzisiejszego, to nawet wtedy nie doliczyłby jeszcze do tryliona, bo na to potrzeba 9,512 lat, 34 dni, 5 godzin i 20 minut nieustannego liczenia.

Istotnie, rozdzieliwszy 1,000,000,000 na 105,120,000, otrzymamy w rezultacie 9,512 lat, 34 dni, 5 godzin i 20 minut.

Ładny kawałek czasu!



Sto.

Z pierwszych siedmiu cyfr kolejnych zestawić takie liczby, których suma byłaby równa stu. Dwa razy jednej cyfry brać nie można.

Rozwiązanie: Cyfry należy zestawić w ten sposób:

45 + 36 + 17 + 2 = 100.

Łamigłówka do nagrody

Ułożył czytel. Bol. K. z Poznania.

T	⊙	*	⊙	Y
O	⊙	*	⊙	E
W	⊙	*	⊙	A
W	⊙	*	⊙	A
P	⊙	*	⊙	P
B	⊙	*	⊙	A
W	⊙	*	⊙	K

Gwiazdki i kółka w powyższej figurze zastąpić należy literami, aby powstały słowa. Li-

tery, oznaczone gwiazdkami, czytane z góry do dołu, dadzą nazwisko znakomitego rosyjskiego pisarza filozofa.

Znaczenie wyrazów.

1. Nazwa gór w Europie.
2. Miasto na Ślązku.
3. Rzeka w Rosyi.
4. Rzeka w Polsce.
5. Powieść Sienkiewicza.
6. Narzędzie rolnicze.
7. Inaczej żołnierz.

Rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 22. grudnia r. b. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. na 1 stycznia 1911.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 49:

I. **Szarada**: Piekarski.

II. **Szarada**: Domicela.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Janina Borucka, Justyn Cholewik, Czytelnia Robotników Salinarnych w Wieliczce, Władysław Dubaj, Konstanty Finik, E. Franz, J. E. Gawron, Michał Geneja (?), Franciszek Gliński, Emil Gruszecki, Marya Haass, Leszek Jaworski, Bolesław Kamecki, Franciszek Ketzina, Tomasz Klus, Aleksandra Korotkiewiczowa, W. Korzeniowski, Julian Krzysztofowicz, R. Kulczycki, Józef Mally, Z. Maślakiewicz, L. Misiagiewicz, Tadeusz Mrzecki, Wacław Nowosielecki, ks. W. Osikowski, Karol Pacuła, Paweł Pajdo, Alina Panasiewiczówna, Stanisław Pec, Wilhelm Rückemann, Celestyn Schöffer, Feliks Ślusarczyk, Maryla Spitzerówna, Jul. Steindl, P. Stolarzewicz, Kazimierz Szeliga, Bronisława Szkaradkówna, Franciszek Szmater, Walerya Tatara, Em. Tatarówna, Władysława Tutakówna, Wanda Witkowska, Anna Wełnianka, Józefa Wilkoniówna, Floryan Wolski, St. Zalasiński.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Stanisław Bilski, Agnieszka Błaszczyk, Ludwik Broździnski, Marya Budziszewska, Helena Chełmikowska, Franciszek Chytry, Wincenty Herok, Wanda Idźkowska, „Janek z pod Góry Przemysława", Mieczysława Jarmuż, L. Jarosz, Marylka i Zosia Kamzówne, Kornelia Kempa, Kierska, Konstancya Kolańczyk, Halina Koppówna, Wiesław i Halka Zuczkowscy, Wanda Mechlińska, W. Modrakowska, Marya Nehring, H. Piechocki, Stanisław Pietrzak, Stefania Płazalska, Ula Plecińska, Julia Płoszyńska, Ludwika Polaszyk, „Pustelnik z pod Środy", Aldona Radomska, Stanisława Siarczyńska, Marya Snowadzka, Zofia i Wanda Stachowskie, Wacław Szmidt, W. Tyrakowska, Wawrzynkiewicz, Tadeusz Węclewicz, Ludwik Żak, A Żychlińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy (Brandenburgia), Hieronim Jaworowski z Drezna, Bronisław Konopiński z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Józef Trocha z Herne (Westfalia), Zarzycki z Turynu (Włochy).

Nagrodę otrzymają:

pp. Marya Snowadzka z Poznania, Marylka Kamzówna z Kolesina (Prusy Zach.), Wilh. Rückemann z Lwowa, Maryla Spitzerówna z Dobrzechowa (Galicya).

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przysełali rozwiązania łamigłówek **tylko na pocztówkach.**



DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 51

(Ciąg dalszy).

— No, jakoś stary pospędzał do kupy swą trzódkę, Andrzej był wyjątkowo uprzejmy, ciekawym, czy długo z nim będzie spokój! — mówił Feliks Sanicki do żony.

— Wątpię, ona dla niego za poważna i delikatna. Za młoda! Żeby mieli dziecko! — odparła pani.

— Wyśmienite były te kapary. — Nie wiesz? kupne? — pytał Dąbrowski, człapiąc piechotą na Chmielną.

— Nie miałam czasu spytać się Kazi! Pewnie kupne. Ale majonez u nas lepszy! Bażanty trochę wysuszyli! I torty nie optyczne! Zresztą udało się. Ale ja zawsze jedno powiem, ona zawiele rachuje na służbę, lekceważy i ryzykuje. Uda się sto razy, a potem może być nieszczęście. Dobrze, że oni bogaci, ale ona powinna bardziej seryo traktować swe obowiązki. Kiedyś bardzo pożałuje.

— Ten gałgan w niej się zakocha! Jest na tej drodze, a ona mu wszystko wybaczy, daruje. O naturo, coś stworzyła kobietę, ileś na to zużyła skrawków kwiatów, gwiazd i piasku! A coś nam kazała to kochać, ileś nam w łby nakładła cielęcego mózgu! Kopnąłbym cię i plunął, żebyś nie siedziała we mnie! — monologował Radlicz, wyglądając, w której knajpie jeszcze się świeci.

Downar był już u siebie samowładnym władcą mieszkania, ten jeden nie krytykował, ani myślał o raucie! Zapalił lampę w salonie, otworzył fortepian, uśmiechnął się sam do siebie i począł przebierać jedną ręką po klawiszach, potem zaśpiewał:

— „Lietuwninkaj mes esam gime“ — jakby był na Smolnej. Mścił w ten sposób dolę Jagiełły i Budrysów!

XI.

Karnawał był tego roku krótki, więc niezwykle ożywiony, zima zaś była niezwykle ostra, więc węgiel zdrożał. Gazety pełne były sprawozdań z balów i nawoływań o wsparcie, więc tańczono i flirtowano na dobroczynność, na przytułki, na ochrony.

Balowały sfery najwyższe i najniższe, ruch był w mieście olbrzymi, a wieczorem nie było prawie kamienicy, w którejby nie tańczono.

Pewnego dnia po południu Kazia zjawiła się w poczekalni u Downara i przerażona tłumem pacyentów, chciała się cofnąć, ale ją lokaj zatrzymał.

— Pani raczy przejść do gabinetu. Pan profesor zaraz wyjdzie. Zamelduję, skoro ten numer się ułatwi.

— Dobrze, bo mam pilny interes.

Nie czekała długo.

— Proszę wybaczyć, profesorze, moje natręctwo, ale tylko parę słów...

— A niech i godzinę. Odsapnę i ja.

— Pani niema?

— Iii... dawno wróciła, jeszcze przed Nowym Rokiem. Jak te przeklęte gazety roztrąbiły mój dar na szpital, zaraz wróciła, jak mówi, resztę ratować! No, cóż tam u pani słychać? Źle pani wygląda.

— Przepracowana jestem. Karnawał! Odbyłam już siedem balów, a czeka mnie jeszcze pięć! Uf!

— Pani to lubi?

— Ja?! — żachnęła się. — Nie rozumiem, jak można bawić się dlatego, że karnawał, lub smucić się dlatego, że post. Ale mąż i teść sobie tego życzą, tak wypada, nie można się wyróżniać, bo co sobie ludzie pomyślą. Prowadzimy dom otwarty, musimy bywać i bawić się.

— Ano tak — rzekł poważnie Downar. — „Es erben sich Gesetz und Rechte, wie eine ewige Krankheit fort!"

— A tu mam tyle biedy. Pani Ramszycowa zostawiła mnie na swem stanowisku, miała mi pomagać pani Rudnicka, i pomagała do karnawału. Teraz wprawdzie nie bywa na balach, ale zupełnie mnie opuściła.

— Pewnie, bo się o nią stara młody Goldmark.

— Ej, może to plotki. Mniejsza zresztą, ale zostałam sama do roboty, a tu straszny tyfus panuje. U mnie, na Pańskiej, miałam siedmiu chorych, a najciężej było u Józefiaków. Wie profesor, on pojechał do Twardowskiego, zostawił rodzinę pod moją opieką. Zachorowała matka tego drobiazgu, i najmłodsza dziewczynka, moja faworytka, malutka Hela. Miałam ciężkie parę tygodni, ale wyszły obie.

Uśmiechnęła się radośnie, a on spojrzał na nią, — w twardych jego rysach mignęło rozczulenie.

— Niechże się pani starannie dezynfekuje i bierze trochę chininy, jako prezerwatywę.

— Nic mi nie będzie. Żeby się łatwo zarażało, gdzieby byli lekarze. Ale to nie koniec mych bied. Otrzymałam dziś list od doktora Rajewskiego, że wyjeżdża do Kielc, dla ważnych rodzinnych interesów, i że od jutra przestaje odwiedzać nasze zakłady.

Downar pokręcił głową z krytyką milczącą, bo nie chciał na kolegę nic rzec, potem chwilę pomyślał i rzekł:

— Mam dla was idealnego człowieka, ale jutro chyba za prędko. Onegdaj wrócił. Ale tenby pani Ramszycowej dogodził. Człowiek idei i powołania, a że trochę czerwony, to nic nie szkodzi. Ten z wami sercem i duszą będzie pracować. Ukochany był mój uczeń, zdolny, pracowity... Wrócił i zaraz się do mnie zgłosił. Chciałem go przy sobie zatrzymać, ale może tamto mu będzie odpowiedniejsze! Dam go wam!

Kazia słuchała, oczu nie spuszczając z niego.

— Jak on się nazywa, profesorze? — spytała głucho.

— On? Bogucki Stanisław.

— Wrócił? — wyrwało jej się, aż Downar oczy podniósł.

— To pani go zna?

— Znam — i — nie dawajcie go nam profesorze. Zresztą on sam nie zechce. Był moim narzeczonym.

— A, a, a! — przeciągle rzekł i głową pokręcił. — I pani go opuściła w takiej biedzie! Aaa... to do pani niepodobne. Nie trza było!

A nią wstrząsnął dreszcz i straszny ból zdławił spazmem serce. Pochyliła się, zakryła twarz dłońmi i trwała tak bez ruchu, bez łez, bez łkania.

Downar pożałował swego słowa i sądu.

— Tak mi się wyrwało bez namysłu. Niechże mi pani wybaczy. Jeśli pani to uczyniła, to musiała być racya! No, cóż tak zresztą, życie płynie?

Ona się już opanowała. Zerwała się z miejsca, przetarła czoło ręką i rzekła głosem zmienionym:

— Profesor ma racyę i prawo sądzić. Winnam! On wrócił, może zapomniał i zmienił się. W każdym razie będzie mną pogardzał. Wolę to, niż gdyby cierpiał. Trzeba mi iść. Mam tyle zajęcia. Życie płynie.

Mówiła prędko, bezładnie, a przez tę chwilę twarz jej się dziwnie zmieniła, oczy wpadły i podkrążyły się ciemno.

— No, już ja pani lekarza wynajdę i jutro go sam zainstaluję, a na miejsce pani Rudnickiej przyślę pani do lecznicy moją swojaczkę Boufałową: zdrowa, mocna kobieta. Pomoże i wyręczy. Tylko niech się pani nie naraża i nie zamęcza.

Pocałował ją w rękę i przeprowadził do przedpokoju. Tam jeszcze obejrzał jej rotundę, czy ciepła, i dopilnował z ojcowską troskliwością, by się dobrze otuliła i wrócił do swych pacyentów — mrucząc:

— Żal stworzenia! Nadto ma ciężko! Czysta dusza!

XII.

O zwykłej obiadowej godzinie zastali Saniccy Kazię, prezydującą w jadalni. Andrzej wracał z Grodziska, ożywiony był, wesół, i zaraz na wstępie rzekł:

— Kupiłem lożę na „Hrabinę“. Markhamowie będą z nami. Ale dziś to jubileuszowe przedstawienie, musisz się ustroić!

— Idź sam. Radam bardzo jeden wieczor wypocząć!

— Po czem? Śmiesznie mało bywamy! Zresztą Markhamom byłoby przykro. Pomyślą, że się boczysz. Odpoczniesz jutro!

— Jakto? Jutro bal lekarzy. Musimy być, obiecałem najsolenniej Morawskim! — zawołał prezes. — Przecie masz już na ten bal toaletę.

— Mam. Siódmą w tym karnawale. Tak mi szkoda tych setek, co te gałgany kosztują.

— A mnie nie szkoda. Podobasz się ogólnie! — rzekł Andrzej. — No, nie grymaś! Już tylko dwa tygodnie karnawału.

— A zapominacie, że pojutrze ślub u Wolskich! Nie możecie chybić. Byłaby śmiertelna obraza. A teraz bardzo są na ciebie, córuś, łaskawe.

Milczała, ledwie dotykała potraw, czuła się śmiertelnie znużona. Oni tego nie uważali, zajęci rozmową, nowinami, anegdotami miejskiemi.

Wreszcie Andrzej do niej się zwrócił:

— Miałem wczoraj na balu w ratuszu kapitalną rozmowę z Jarłową.

— Z tą siostrą Kołockiego?

— Wdową po starym Jarle! Powiada do mnie: jaka szkoda, że pan żonaty.

Prezes się śmiał. Pochlebiał mu ten sukces syna w arystokracyi. Kazia się uśmiechnęła blado, obowiązkowo.

— Bardzo piękna kobieta. Ma profil kamei.

— Jarło jej zostawił półtora miliona! — dodał prezes. — Testament był u mnie!

Mówili znowu ze sobą, i przeszli w wyśmienitych humorach na kawę do gabinetu.

— Więc koniecznie potrzebnam w teatrze? — spytała Kazia po chwili. — Takbym rada zostać w domu!

— Mówię ci, że Markhamowie się obrażą! Cóż znowu, wielka ci fatyga te parę godzin! — zawołał niecierpliwie Andrzej, i dodał natychmiast:

— Może wolisz koncert „Lutni“? Możemy po nich wstąpić, i zmienić program wieczoru.

— Jabym wolała otrzymać tygodniowy urlop i odwiedzić ojca! — rzekła, wstając leniwie.

— Oszalałaś! O tej porze na wieś! Żartujesz chyba!

— Żartuję, masz racyę. Idę się ubierać!

— No, nie grymaś. Pojedziemy do Górowa na Wielkanoc, gdy sady zakwitną! — rzekł wesoło i dalej ojcu coś opowiadał.

„Gdy sady zakwitną“ — powtórzyła w myśli, ale i to wspomnienie, nadzieja wiosny, nie potrafiło jej teraz ucieszyć. W pół godziny potem, już ubrana, schodziła do karety, nie mogąc przezwyciężyć nieznośnej senności i znużenia. Orzeźwił ją nieco chłód, ruch uliczny, łuna świateł w teatrze i dźwięki muzyki.

Teatr był natłoczony i jarzył się od strojów i klejnotów. Nikt nie słuchał uwertury, każdy zresztą umiał ją na pamięć, i każdy tu był, żeby się pokazać, spotkać znajomych, admirować toalety, podniecać się do flirtu, zabawy, rozpusty, tą wystawą obnażonych ramion kobiecych, gorącem, pełnem zapachu perfum i tonów muzycznych.

W tem ludzkiem mrowiu, skupionem ciasno, oświetlonem jaskrawem światłem gazu, wrzały wszystkie namiętności, a królowała ciekawość pusta, zawiść niska, próżność nikczemna.

Lornetki były w ruchu, odnajdywano znajomych, zamieniano spojrzenia i uśmiechy, taksowano brylanty, krytykowano stroje, szeptano skandale, uśmiechano się zjadliwie, lub cynicznie, pokazywano sobie modne kokoty, robiono przegląd karnawałowych panien, szacowano ich posagi, a o uwerturze myślał tylko nieboszczyk Moniuszko w grobie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Milcz żono — mruknął nadzorca robiąc wielkie oczy — to do ciebie nie należy. Idź, księże, idź.

— Nie — powtórzył Girard — ja mimo jej woli towarzyszyć jej będę, jedno, jedno tylko słowo, przypomni jej obowiązki chrześcianki; wreszcie taki mi gmina dała rozkaz, a ja powinienem być posłuszny gminie.

— Zgoda, ale odeszlij twojego zakrystyana — grubiańsko rzekł adjutant-major dowodzący siłą zbrojną.

Był to dawny aktor z teatru la Comédie Française, zwany Grammont.

Oczy kawalera błysnęły podwójnym blaskiem, machinalnie zanurzył on swą rękę w zanadrze.

Girard wiedział, że kawaler ma sztylet pod kamizelką. Wstrzymał więc go błagającym wzrokiem.

— Nie narażaj mojego życia — rzekł mu po cichu — widzisz, że dla ciebie wszystko już stracone, nie gub nas razem z nią, w drodze wspomnę jej o tobie, przysięgam ci, powiem jej na co się odważyłeś, aby ją po raz ostatni zobaczyć.

Te słowa uśmierzyły wrzenie młodzieńca, wreszcie skutkiem zwykłej reakcyi cała jego organizacya uległa szczególnemu osłabieniu. Ten człowiek pełen bohaterskiej woli, dziwnej potęgi, wyczerpał nakoniec swoją siłę i swoją wolę, wahający się, a raczej utrudzony, bujał w jakiejś ospałości, którą można było wziąć za poprzedniczkę śmierci.

— Tak jest — rzekł — tak być musiało: krzyż dla Chrystusa, rusztowanie dla niej. Bogowie i królowie zwykle aż do dna wypróżniają kielich goryczy przez ludzi sobie podany.

Skutkiem tej myśli bezwładnej i pełnej rezygnacyi, młodzieniec pozwolił się wytrącić za drzwi, broniąc się jedynie mimowolnym jękiem i stawiając opór podobny skazanej na śmierć Ofelii, gdy widziała, że ją unoszą morskie bałwany.

U wrót Conciergerie tłoczyły się przerażające tłumy ludu, które ten tylko pojąć zdoła, kto je raz przynajmniej widział.

Niecierpliwość owładnęła wszystkie namiętności, przemówiły one na głos wyłącznym sobie językiem, tworząc długą i huczną wrzawę, tak, iż się zdawało, że cała ludność zgromadziła się w cyrkule pałacu sprawiedliwości.

Naprzeciw tych tłumów obozowała cała armia z armatami przeznaczonemi do obrony uroczystości i zabezpieczenia jej dla wszystkich, którzy się nią nacieszyć pragnęli.

Napróżnobyś usiłował przebić ten mur coraz bardziej grubiejący, od czasu jak mieszkańcy przedmieść Paryża dowiedzieli się o wyroku.

Maison-Rouge wytrącony z Conciergerie, naturalnie znalazł się w pierwszym szeregu żołnierzy.

Żołnierze zapytali go kto on jest.

Odpowiedział, iż jest wikaryuszem księdza Girarda, lecz, że królowa obu ich nie przyjęła, ponieważ obaj związani byli przysięgą.

Żołnierze z kolei wypchnęli go do pierwszego szeregu widzów.

Tu musiał znowu powtarzać to, co powiedział żołnierzom.

Wówczas powstały okrzyki.

— On był u niej dopiero... Widział ją... Cóż mu powiedziała?... Co ona robi?... Czy zawsze dumna?... Czy upadła na duchu?... Czy płacze?...

Na tyloliczne zapytania kawaler odpowiadał głosem słabym, ale zarazem miłym i uprzejmym, jakby głos ten był ostatnim tchem życia, które mu na ustach zawisło.

Odpowiedzi jego były czystą i pełną prostoty prawdą, prawda wychwalała stałość Antoniny, prostota zaś niejedno serce przejęła pomięszaniem i trwogą.

Kiedy mówił o małym Delfinie, jego matce, tej królowej bez tronu, tej małżonce bez męża, tej matce bez dzieci i nakoniec tej kobiecie samotnej i opuszczonej, pozbawionej przyjaciół, otoczonej katami, smutek tu i owdzie osiadł na niejednem czole, nie jedna łza, lękliwa i pałająca zwilżyła oczy niedawno nienawiścią ożywione.

Pałacowy zegar wybił jedenastą godzinę i natychmiast ustały wszelkie wrzawy. Sto tysięcy osób rachowało bijącą godzinę odpowiadając na nią uderzeniami własnych serc.

A potem skoro zginął w przestrzeni ostatni dźwięk zegaru, wielki zgiełk powstał za drzwiami i jednocześnie śmiertelny wóz zajeżdżając od strony wybrzeża kwiatów, potoczył się obok wojska i ludu i nareszcie stanął przy stopniach pałacowego ganku.

Wkrótce na jego wysokości pokazała się królowa. Wszyscy zatrzymali oddech i na nią skierowali swoje spojrzenia.

Krótko ostrzyżone i po większej części w więzieniu posiwiałe włosy, swą srebrzystością dodawały delikatności tej bladej i w ostatniej chwili swojej niebiańsko-pięknej córze Cezarów.

Miała na sobie białą suknię i w tył związane ręce.

Skoro się pokazała na wysokości schodów, mając po prawej stronie księdza Girarda, który jej towarzyszył, mimo, iż mu tego wzbraniała, a po lewej wykonawcę, obu czarno ubranych, w całym tłumie powstał szmer, który sam tylko Bóg w sercach ludzkich czytający, zrozumieć i ocenić zdoła.

Wtedy pomiędzy Maryą-Antoniną a wykonawcą przeszedł jakiś człowiek.

Był to Grammont. Przeszedł, aby pokazać jej haniebny wóz.

Królowa mimowolnie się cofnęła.

— Wsiadaj — rzekł Grammont.

Wszyscy zgromadzeni słyszeli ten wyraz, bo wzruszenie zawiesiło szmer na ich ustach.

Wówczas widziano, jak krew występując na twarz królowej, dostała się aż do korzeni jej włosów, ale prawie natychmiast twarz jej odzyskała śmiertelną bladość.

Otworzyły się jej zbielałe usta.

— Po co mi ten wóz — rzekła — kiedy król w swoim pojeździe przybył na rusztowanie?

Wtedy ksiądz Girard rzekł jej coś po cichu, zapewne poskramiał w potępionej ten ostatni okrzyk królewskiej dumy.

Królowa umilkła i zachwiała się.

Samson wyciągnął obie ręce pragnąc ją podtrzymać, lecz królowa wyprostowała się wprzód nim jej dotknąć zdołał.

Gdy schodziła ze schodów, pomocnik wykonawcy przywiązywał stopnie z tyłu wozu.

Królowa wsiadła, ksiądz zajął miejsce obok niej.

Skoro wóz zaczął postępować, nastało między ludem wielkie poruszenie, lecz że żołnierze nie wiedzieli o zamiarze tego poruszenia, zebrawszy więc wszelkie siły swoje, odparli tłum. Stąd między toczącym się wozem a pierwszemi szeregami widzów, utworzono obszerną próżną przestrzeń.

W tej przestrzeni ozwało się ponure wycie.

Królowa zadrżała, podniosła się i spojrzała w koło siebie.

Wtedy spostrzegła swojego pieska, którego już od dwóch miesięcy miała za straconego, który nie mógł wraz z nią dostać się do Conciergerie, ale mimo krzyków, razów i odpędzań, gwałtem rzucał się ku wozowi, lecz prawie natychmiast biedny Black, wycieńczony, chudy, skołatany, znikł pod nogami koni.

Królowa wzrokiem go śledziła, nie mogła wskazać palcem, bo ręce miała związane, wreszcie choćby ją usłyszano, choćby objawiła swoje żądanie, czyżby uczyniono jej zadosyć?

Atoli straciwszy go z oczu na chwilę, znowu go potem ujrzała.

Trzymał go na ręku jakiś blady młodzieniec, przewodniczący tłumom stojący na armacie, który podwyższony niewypowiedzianym zapałem pozdrawiał ją wskazując w niebo.

Marya-Antonina również w niebo spojrzała i łagodnie się uśmiechnęła.

Kawaler de Maison-Rouge wydał jęk, jakby mu ten uśmiech zranił serce, a widząc, że wóz zwraca ku Pont au Change, wpadł między tłum i znikł.

VII.

Rusztowanie.

Na placu Rewolucyi stali dwaj ludzie oparci o latarnię.

Wraz z tłumem, którego jedna część ruszyła ku pałacowi, druga ku placowi Rewolucyi, reszta zaś ścieśniona i skupiona, rozlała się po wszystkich drogach, łączących te dwa place, czekali oni, aż królowa stanie przy narzędziu kary, które zużyte deszczem i słońcem, zużyte ręką kata i o! okropności, dotknięciem tylu ofiar ze złowrogą dumą panowało nad otaczającemi je głowami, jak królowa panuje nad ludem.

Ci dwaj ludzie, trzymający się pod ręce, z zmarszczoną brwią, rozmawiający po cichu i przerywanie, byli to Lorin i Maurycy.

Zgubieni wśród widzów, a jednak umieszczeni w sposób we wszystkich zazdrość wzbudzający, nie przestawali wieść dalszej rozmowy, pewno nie najmniej interesującej ze wszystkich rozmów, jakie krążyły w grupach, które niby elektryczną nicią połączone, poruszały się na kształt żyjącego morza, poczynając od mostu Zmiany aż do mostu Rewolucyi.

Wyżej objawiona myśl o rusztowaniu panującem nad głowami wszystkich, obu ich uderzyła.

— Patrz — mówił Maurycy — jak ten ohydny potwór rozpościera swe czerwone ramiona; rzekłbyś, że nas przywołuje, że swoim otworem, jakby przerażającemi usty do nas się uśmiecha!

— Ah! na honor — powiedział Lorin — przyznam ci się, że nie byłem w tej szkole poezyi, która wszystko widzi w czerwonym kolorze. Dla mnie wszystko wygląda różowo, a u stóp nawet tej ohydnej machiny, jeszcze bym śpiewał, jeszcze bym miał nadzieję. Dum spiro, spero.

— Ty masz nadzieję, kiedy zabijają kobiety.

— Ah! Maurycy — rzekł Lorin — synu rewolucyi, nie wypieraj się matki twojej. Ah! Maurycy, pozostań dobrym i prawym patryotą. Maurycy, osoba umrzeć mająca, nie jest zwyczajną kobietą, lecz kobietą zupełnie inną jak drugie: osoba, która ma umrzeć, jest to zły duch Francyi.

— O! nie jej to żałuję, nie ją to opłakuję — zawołał Maurycy.

— Rozumiem, ty żałujesz, ty opłakujesz Genowefę.

— Ah! — rzekł Maurycy — jest myśl, która mię o szaleństwo przyprawia, że Genowefa zostaje w ręku zaopatrywaczów gilotyny, których nazywają Hebert i Fouquier-Tinville; w ręku ludzi, którzy tu przysłali biedną Heloizę, którzy tu przysyłają dumną Maryę-Antoninę.

— Cóż ztąd! — rzekł Lorin — ja dla tego właśnie mam nadzieję, kiedy gniew ludu pożre dwie ukoronowane głowy, może się na niejaki czas nasyci, jak boa, który trzy miesiące trawi to co pożarł. Wówczas nie pochłonie już nikogo, a jak twierdzą prorocy z przedmieścia, najmniejsze nawet odrobiny zatrważać go będą.

— Lorinie, Lorinie — powiedział Maurycy — ja zdrowiej aniżeli ty sądzę o rzeczach i powiem ci po cichu, to com i na głos powtórzyć gotów. Nienawidzę ja Lorinie, nowej królowej, którą przeznaczenie zdaje się naznaczać na następczynię Maryi-Antoniny, która zapewnie padnie jej ofiarą. Smutna to królowa, której purpurę stanowi codziennie płynąca krew, a której pierwszym ministrem jest Samson.

— Bah! my mu się wymkniemy.

— Nie wierzę temu — wstrząsając głową powiedział Maurycy — widzisz, że dla uniknienia aresztowania, któreby nas spotkało, gdybyśmy mieszkali w domu, mieszkać musimy na ulicy.

— Bah! a cóż nam przeszkadza do wyjazdu z Paryża. Nie narzekajmy zatem. Wuj mój oczekuje nas w Saint-Omer, mamy pieniądze i paszporta, żaden żandarm nas nie zatrzyma, i cóż ty na to? Zostajemy tutaj, bo sami tego chcemy.

— Nie, nie zupełną prawdę mówisz, najdoskonalszy, najprzywiązańszy przyjacielu. Zostajesz, bo ja zostać pragnę.

— A ty zostajesz bo chcesz wynaleźć Genowefę. Cóż więc naturalniejszego, co słuszniejszego? Sądzisz, że ona w więzieniu, to więcej jak pewna. Pragniesz czuwać nad nią i dla tego to z Paryża wyjechać nie możemy.

Maurycy westchnął, myśl jego widocznie gdzieindziej błądziła.

— Czy przypominasz sobie zgon Ludwika XVI? — rzekł. — Widzę się jeszcze bladym z wzruszenia i dumy. Byłem jednym z przywódców tłuszczy, w której fałdach dzisiaj się ukrywam. U stóp tego rusztowania byłem wyższy, aniżeli był kiedykolwiek ten, który na niem zginął. Jakaż teraz zmiana! Lorinie, a kiedy pomyślę, że dziewięć miesięcy wystarczyło do wywołania tak strasznej reakcyi!

— Dziewięć miesięcy miłości, mój Maurycy!... O miłości, tyś zgubiła Troję!

Maurycy westchnął, jego koczująca myśl, na inną skierowywała się drogę, inny widziała horyzont.

— Biedny Maison-Rouge! — szepnął — jakiż to okropny dzień dla niego.

— Niestety! — powiedział Lorin — wiesz Maurycy co ja najsmutniejszego widzę w rewolucyach?

— Co?

— Że nieraz przyjaciółmi naszymi są ludzie, których chcielibyśmy mieć za przyjaciół i...

— Trudno mi w jedną rzecz uwierzyć — przerwał Maurycy.

— W jaką?

— Że ten szaleniec nie znajdzie już żadnego sposobu ocalenia królowej.

— O! ten człowiek silniejszy jak sto tysięcy innych!

— Powiadam ci, byłby chyba szalony, ja wiem, że dla ocalenia Genowefy...

Lorin zmarszczył brwi.

— Powtarzam ci, mój Maurycy — rzekł — że jesteś w błędzie; nie, nawet gdyby ci wypadało ocalić Genowefę, nie zostaniesz złym obywatelem. Ale dosyć tego, Maurycy, słuchają nas. Patrz, oto wszystkie głowy poruszają się, oto służący obywatela Samsona podnosi się i patrzy w dal. Austryaczka jedzie.

W rzeczy samej długie i wzrastające drżenie wstrząsnęło tłumem, niby towarzysząc poruszeniu, o którem wspomniał Lorin. Było to coś na kszałt nadmorskiego wiatru, który z razu gwiżdże, a potem ryczy.

Maurycy wspiął się na słup latarni i spojrzał w ulicę św. Honoryusza.

— Prawda — rzekł cały drżący — otóż i ona!

W rzeczy samej zaczynano spostrzegać inną równie obrzydliwą jak gilotyna machinę, był to śmiertelny wózek.

Z prawej i lewej jego strony świeciła się broń eskorty, z przodu Grammont połyskiem szabli swojej odpowiadał na krzyki niektórych fanatyków. Ale w miarę, jak wóz naprzód postępował, krzyki te powoli cichły przerażone zimnem i ponurem spojrzeniem osądzonej.

Niczyja fizyonomia energiczniej nie nakazywała poszanowania; nigdy Marya-Antonina nie była większą i majestatyczniejszą. Dumą swoją i odwagą trwożyła wszystkich otaczających siebie.

Obojętna na napomnienia księdza Girarda, który jej na przekorę towarzyszył, nie skłoniła głowy ani na prawo ani na lewo; myśl w jej mózgu osiadła, zdawała się być równie jak wzrok jej niewzruszoną, a jej nieugięta postawa tem silniej odbijała się na wozie gwałtownie nierównością bruku wstrząsanym, rzec było można, że to jakiś marmurowy posąg, podróżujący na wozie, tylko, że oko tego królewskiego posągu promieniło się, że wiatr powiewał jego włosami.

Cisza niby w jakiej pustyni nagle zaległa pomiędzy trzystu tysiącami widzów tej sceny, na którą niebo po raz pierwszy przy blasku swojego słońca patrzyło.

Wkrótce w miejscu, które zajmował Maurycy i Lorin usłyszano zgrzyt osi śmiertelnego wozu i sapanie gwardyjskich koni.

Wóz stanął wreszcie u stóp rusztowania.

Królowa, która zapewne nie myślała o tej chwili, przebudziła się i zrozumiała: dumnym wzrokiem powiodła po tłumach i spostrzegła teraz, że na kamiennym słupie stoi ten sam blady młodzieniec, którego niedawno widziano na armacie.

Z owego słupka posłał on jej to samo pełne uszanowania pozdrowienie, które już był przesłał poprzednio, gdy wyjeżdżała z Conciergerie, potem znowu zeskoczył ze słupa.

Widziało go kilka osób, że zaś czarno był ubrany, stąd więc rozgłoszono, że ksiądz oczekuje na Maryę-Antoninę, której pragnie udzielić rozgrzeszenie, skoro wstąpi na rusztowanie.

Zresztą kawaler nikogo nie obchodził. Stanowcze chwile najwyższy szacunek wzbudzają dla pewnych rzeczy.

Królowa ostrożnie zeszła po stopniach, podtrzymywał ją Samson, który aż do ostatniej chwili spełniając obowiązek, na jaki sam zdawał się być skazanym, największe jej okazywał względy. Podczas gdy postępowała ku stopniom rusztowania, kilka koni wspinać się poczęło, kilku gwardzistów i żołnierzy zdawało się poruszać, tracić równowagę, potem widziano, że jakiś niby cień wśliznął się pod rusztowanie, ale spokojność prawie natychmiast znowu się naprawiła; w tej uroczystej chwili nikt nie chciał opuszczać swojego miejsca, ani utracić choćby najmniejszy szczegół spełnić się mającego wielkiego dramatu, wszystkie oczy skierowały się ku osądzonej.

Królowa stała już na płaszczyźnie rusztowania. Ksiądz ciągle do niej przemawiał; jeden oprawca lekko ją z tyłu popychał, drugi zaś odwiązywał chusteczkę barki jej pokrywającą.

Marya-Antonina uczuła, że ta haniebna ręka dotyka jej szyi, nagle się poruszyła i nastąpiła na nogę Samsona, który przywiązywał ją do okropnej deski, tak iż tego nie widziała.

Samson cofnął nogę.

— Przebacz pan — rzekła królowa — nie uczyniłam tego naumyślnie.

Były to ostatnie słowa, które wymówiła córka Cezarów, królowa Francyi, wdowa Ludwika XVI.

Kwadrans na pierwszą po południu wybił na zamku Tuilleries, kiedy Marya-Antonina przeniosła się do wieczności.

Krzyk okropny, malujący wszelką namiętność bo radość, trwogę, żałobę, nadzieję, tryumf, żal, niby jaki huragan przygłuszał się pod rusztowaniem.

Jakkolwiek jednak był słaby, usłyszeli go żandarmi i posunęli się o kilką kroków naprzód,

a nie tak już ściśnione tłumy rozlały się jak rzeka co swą tamę zerwała, obaliły przegrodzenie, rozproszyły gwardzistów i niby morskie bałwany podmyły stopy rusztowania, tak, że się aż zatrzęsło.

Każdy chciał się z bliska przypatrzeć resztkom królestwa, które mniemał, że na zawsze we Francyi istnieć przestało.

Lecz żandarmi czego innego szukali, pragnęli dojść, czyj to cień przebył ich szeregi i wcisnął się pod rusztowanie.

Wkrótce wrócili dwaj z pomiędzy nich, prowadząc za kołnierz młodzieńca, który przyciskał do serca zakrwawioną chustkę.

Za nim biegł mały bonoński piesek płaczliwie wyjący.

— Śmierć mu! śmierć byłemu! byłemu! — zawołało kilka głosów z tłumu wskazując na młodzieńca — zmaczał swą chustkę we krwi Austryaczki, śmierć mu!

— Wielki Boże! — rzekł Maurycy do Lorina — czy poznajesz go?

— Śmierć royaliście! — powtórzyli zajadli szaleńcy — odebrać mu tę chustkę, tę jego relikwię, odebrać!

Dumny uśmiech przebiegł po ustach młodzieńca, rozerwał on swoją koszulę, odkrył pierś i upuścił chustkę.

— Panowie — rzekł — nie jest to krew królowej, ale moja własna, pozwólcie niech umrę spokojnie.

I wszyscy ujrzeli głęboką i krwią zbroczoną ranę w jego lewym boku.

Tłumy wydały okrzyk przerażenia i cofnęły się.

Wtedy młodzieniec zwolna osłabł i padł na kolana patrząc na rusztowanie jak męczennik patrzy na ołtarz.

— Maison-Rouge! — szepnął Lorin do ucha Maurycemu.

— Bądźcie zdrowi! — z cicha rzekł młodzieniec z niebiańskim uśmiechem pochylając głowę — bądźcie zdrowi, a raczej do widzenia! — I skonał wpośród zdumionych gwardzistów.

— Nim zostaniemy złymi obywatelami — rzekł Lorin do Maurycego — to jeszcze zrobić należało.

Mały piesek obłąkany wyjąc kręcił się wokoło trupa.

— Patrzcie, to Black — powiedział jakiś człowiek trzymający w ręku gruby kij — patrzcie, to Black, pójdź tu, pójdź stary.

Piesek podbiegł ku temu kto go wołał, ale ten człowiek natychmiast podniósł kij i wybuchając głośnym śmiechem rozpłatał mu głowę.

— O! nędznik! — zawołał Maurycy.

— Cicho! — wstrzymując go, szepnął Lorin — cicho, albo zgubimy się... to Simon!

VIII.

Odwiedziny.

Lorin wrócił z Maurycym do mieszkania swojego, Maurycy bowiem, aby zbyt otwarcie nie kompromitował przyjaciela, uznał za rzecz stosowną wychodzić bardzo rano, a wracać dopiero wieczorem.

Wplątany w wypadki, obecny przeniesieniu więźni do Conciergerie, co dzień upatrywał Genowefy, bo nie wiedział gdzie jest zamknięta

Lorin od czasu widzenia się po raz ostatni z Fouquier-Tinvillem dał mu do zrozumienia, że pierwszy widoczny krok zgubi go, że w takim razie padnie ofiarą nie przyniosłszy pomocy Genowefie, a Maurycy, który w nadziei połączenia się ze swoją kochanką byłby się natychmiast kazał uwięzić, z obawy, aby go na zawsze z nią nie rozłączono, spokojnie się zachował.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o nadesłanie przedpłaty na kwartał przyszły w tym tygodniu do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. — Prenumerata wynosi rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal., kwartalnie 2 kor. 40 hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

DZIAŁ KOBIECY.

Obowiązki przedgwiazdkowe Polki.

Gwiazdka za pasem!

Z jakiem upragnieniem wyczekują jej nasze maleństwa. Serduszka ich biją mocniej na myśl, co im przyniesie ta urocza Gwiazdka.

A zjawi się ona nawet u najmniej zamożnych. Wszędzie zapuka i złoży dar mniej lub więcej kosztowny, ale wszędzie drogi sercom dziatwy.

Niech podarki te będą zaprawdę drogie, miłe, swojskie. Kładziemy nacisk na słowo ostatnie: swojskie.

Niech swojskość bije z nich w oczy, niech z nich przelewa się w serduszka naszych dzieciaków od najwcześniejszego zarania. Niechaj na podarunkach tych nasze maleństwa uczą się poznawać, cenić i kochać naszą kulturę, naszą sztukę, nasz przemysł, nasz handel.

Dbajmy o to, by Gwiazdka nie wniosła w dom nasz lalki, wystrojonej po niemiecku, lub w Chantecler cudaczny. Nie! niech lalka dla naszej Hali, Zośki, Maryli, Milki i t. d. będzie naszą wiochną, strojną w barwne wstęgi krakowskie, w sznuróweczkę i krasną spódnicę, — lub też w kontusik staropolski.

Niech nasza mała, przyszła chluba, Kazik, czy Jędrek, czy Wiesławek, nie otrzyma brzydkich, ciężkich, ołowianych żołnierzy pruskich ze znaną „pikelhaubą“, lecz naszych husarzy, krakusów i t. d.

Niech książka, którą dziatwa dostanie do ręki, nie będzie tłomaczeniem z niemieckiego, ozdobionem Michlami z fajką w ustach, lecz dziełkiem naszych autorek, czy autorów. Wyjęte z duszy, wyobraźni dziecięcej utwory, wierszyki Konopnickiej, nie powinny przedewszystkiem zbraknąć na żadnym stole gwiazdkowym.

Niech książki z obrazkami przedstawiają nasze stroje, nasze typy ludowe, obfitujące w tyle barw i motywów, niech w nich widnieją nasze krajobrazy, piękności, cuda naszej przyrody.

Nie łamalibyśmy się przecież opłatkiem, gdyby wypieczony był przez obcego. Tę samą zasadę zastosujmy do wszystkiego, co ukaże się na stole wigilijnym, gwiazdkowym. Przedewszystkiem tradycyjne pierniki niech będą swojskie; dostać możemy ich wszędzie.

Służmy dziatwie naszej dobrym przykładem w dniu jej radości i wesela. Nie dopuśćmy do tego, by nasze skarby naraziły nas na kłopot zapytaniem: „Od kogo Gwiazdka wzięła to lub owo, czy czasem nie od żyda?“

Dbać o to wszystko jest narodowym obowiązkiem każdej matki, każdej Polki — obecnie, gdy rozmyślamy nad tem, czem Gwiazdka uszczęśliwić ma nasze drogie maleństwa.



Hygiena rozrywek.

Rozrywki, jak hydroterapia (leczenie wodą), mają właściwości różnorodne: podniecające lub uspakające wedle tego, jak bywają stosowane.

I praca i pracowite lenistwo sprowadzają objawy jednakie: bóle i zawroty głowy, apatyę lub podniecenie nerwowe, przy którem myśli nasze obracają się w jednem kółku, zwykle ciasnem. W obu wypadkach człowiek traci moc panowania nad sobą. Jeżeli przeważającym objawem jest zgnębienie, apatya, po wysilonej pracy umysłowej, trzeba szukać rozrywek łatwych, uspakajających. Jeżeli praca umysłowa, nie wywołując zaburzeń w systemie nerwowym i w mózgu, bywa utrudniona, należy umysł trenować przy pomocy środków podniecających. Wreszcie, gdy automatyzm mózgowy jest silny, gdy myśl zwraca się wyłącznie ku jednym przedmiotom i staje się naprzykszoną, trzeba uciekać się do rozrywek, odwodzących ją od tego.

Najbardziej kojącą rozrywką jest marzycielstwo, swobodne puszczenie wodzy myślom, bądź przez zwracanie ich wstecz ku wspomnieniom, bądź przez wypuszczanie ich naprzód ku nieziszczonym a drogim pragnieniom. Tę czynność mózgową należy stosować po każdej podniecającej rozrywce, a więc po natężonej pracy, po wzruszającej lekturze, po wstrząsającem przedstawieniu teatralnem; pomaga do odzyskania równowagi myślowej, do snu. Lecz długie mrzonki nie są dobre dla osób nagabywanych myślą uporczywą — „idée-fixe“, lub popędami płciowymi, gdyż w takich razach marzenia puszczają im wodze.

Osobom przepracowanym zaleca się spacery po ludnych ulicach, widowiska, nie wysilające

uwagi, w mniejszej zaś mierze, zebrania towarzyskie, jako nie wymagające myślowego wysiłku.

Właściwość kojącą posiada muzyka, łatwo wpadająca w ucho, dlatego stosowana bywa codziennie w miejscowościach kuracyjnych. Najłatwiejszą jest muzyka o wybitnym rytmie, słowem arye taneczne. Temu właśnie zawdzięczają swe powodzenie orkiestry cygańskie, wygrywające w restauracyach. Im bardziej melodye są znane, tem milej wpadają w ucho. Po każdym sezonie koncertowym i teatralnym pozostaje pewna liczba aryi ogranych, oklepanych nawet i dlatego kojących nerwy.

Sporty, uprawiane z umiarkowaniem: dla rozrywki, nie zaś dla ubiegania się, konna jazda, bicykl, wiosłowanie, ślizgawka, pomagają do wypoczynku: oglądanie wystaw i muzeów jest bardziej nużącem; lepszy skutek daje przeglądanie fotografii, reprodukujących arcydzieła pędzla i dłuta.

Słowem rozrywkami kojącemi są te, które nie nadają władzom umysłowym ściśle określonego kierunku i nie wymagają natężenia i uwagi.

Rozrywki podniecające winny przeciwnie zwracać umysł w określonym ściśle kierunku, winnny go zainteresować, a nawet pochłonąć.

W pierwszym rzędzie stoi rozmowa, zwłaszcza dowcipna, cięta, która zmusza do myślowego wysiłku, gdy w niej bierzemy udział, a rozrywa, gdy jej słuchamy. Nie powinna jednak przeciągać się zbyt długo, bo wówczas nuży i nudzi.

Gry towarzyskie, szarady, rebusy działają tak samo, jak gry hazardowe lub handlowe, połączone z zyskiem lub stratą materyalną. Podniecają również sporty konkursowe, będące dla miłości własnej ostrogą. Popisy żonglerów, akrobatów, pantominy, rozrywają umysł, wzbudzając przytem wesołość. Do tej kategoryi zaliczyć można „cafés-concerts“ i kabarety. Wbrew gromom, rzucanym na nie przez moralistów, mają dodatnie znaczenie hygieniczne i to tłomaczy ich sukces. Rzecz prosta, nie powinny przeciągać się do późnej godziny.

We wszystkich niemal rozrywkach podniecających, dużą rolę odgrywa żywioł seksualny, istnieje w muzyce, w zebraniach towarzyskich, stanowi przynętę miejsc, rozrywek i widowisk. W umiarkowanych dozach i pod uduchowioną postacią zespolony z innymi żywiołami zabawy, zwiększa ich odżywcze działanie.

Rozrywki, odciągające myśl od trosk, kłopotów, od uporczywych manii, zwracają uwagę w inną stronę. Czynnikami ich są: lektura przeróżna, od dzienników i czasopism, do dzieł naukowych, od sensacyjnych romansów do utworów poetycznych. Dalej: dyskusya, zwłaszcza o sprawach politycznych, roznamiętniających ludzi najwięcej.

Rzeczą główną jest wybór odpowiednich usposobieniu rozrywek. Trzeba je stosować do inteligencyi, do przyzwyczajeń, do poprzednich zajęć, należy też przerywać rozrywki w porę, aby nie stały się równie uciążliwe, jak praca. Jeżeli nie stosujemy ich umiejętnie, działanie ich będzie wręcz przeciwne naszym celom.

Jeśli dla wypoczynku po pracy umysłowej, puszczamy się w dalekie i męczące podróże, to zwykle wracamy z nich jeszcze bardziej znużeni. Jeśli chcąc zaznać ciszy, zakopujemy się na głuchej wsi, brak wrażeń sprowadza nudę i nie odrywa myśli od trosk i kłopotów.

Szczęśliwi ci, którzy poza granicami młodości, zachowali taką świeżość ducha, że rozrywką jest dla nich niewinna zabawa. Dla większości jednak, rozpraszanie smutnych myśli jest rzeczą skomplikowaną i trudną. Trzeba umieć się bawić — to sztuka — swego rodzaju. *Dr. T.*

* *

Moda i zdrowie.

Zawziętymi nieprzyjaciołmi mody bywają doktorzy, przypisując jej fantazyom i wyskokom przyczynę wielu poważnych chorób, u zapalonych (powiedzmy szczerze lekkomyślnych) zwolenniczek mody. Rozpatrzmy kwestyę bezstronnie na dwóch przynajmniej punktach: staniki wycięte, z krótkiemi rękawami, dopełnione tiulową szmizetką, jakie modne są od lat paru na ulicę i suknie oblegające figurę, noszone przez ogół kobiet. W pełni lata, w dnie upalne, gdy ledwo można oddychać, niechby zresztą panie nosiły jaknajlżejszy ubiór, zastępując go cieplejszym w jesieni. Ale moda nigdy nie liczy się z porą roku, jak to nakazuje hygiena!

Doktorzy wysyłają osoby delikatne i słabe do różnych stacyi klimatycznych, w góry, nad morze i przepisują z całą troskliwością staranną kuracyę i odpowiedni tryb życia; ostrzegają przed groźnemi następstwami zaziębienia, zalecają wziąć z sobą ciepłe ubranie, lub nawet każą nosić koszulkę trykotową — przypominając, że nad morzem lub w górach po zachodzie słońca nagle się oziębia. Zdawałoby się, że wszystkie ostrożności są zachowane, że osoby najbliższe, jadące jako

opieka dla słabej, mogą być spokojne — ale nadszedł dzień balu, trzeba się rozerwać, wesoła zabawa uspokoi nerwy. Młoda osoba, dla której wszystkie trudy i koszta są poniesione, idąc na zabawę, stroi się w piękną toaletę i naturalnie zrzuca trykot, bo z pod klarownej szmizetki, lub wyciętej sukni byłby widoczny. Zrzuca spódniczkę spodnią, boć ona pogrubia; a moda dyktuje formy obcisłe i staniki wycięte. Żadne dowodzenie najrozumniejsze nie przekona wtedy — uwierzy może po zaziębieniu, ale nie uzna stałej potrzeby baczenia na siebie i z obawy, aby trykot nakazany dla zdrowia, nie wywołał włożenia mniej strojnego stanika, a spódniczka nie dodała 1 cent. w biodrach, młoda osoba odrzuci je, zwodząc czujność najtroskliwszej opieki. Radzimy więc dla zabezpieczenia zdrowia, używać zamiast trykotów, staniczków spodnich z nowego rodzaju sukna, niezmiernie miękkiego i cienkiego, zwanego *drap chair* i do złudzenia naśladującego kolor ciała, tak, iż nie tylko przez lekkie klarowne materyały, lecz i z pod tiulu czy koronki, staniczek nie będzie widoczny. Osobom skłonnym do bólu gardła, radzimy używanie szmizetek z *drap chair* pod szmizetki tiulowe, chiffon lub batystowe, gdyż nawet z blizka trudno rozpoznać to podłożenie.

Zamiast spódniczek, osoby skłonne do zaziębienia, kaszlące, anemiczne, niech używają trykotowych majtek, które można dobrać zupełnie obłegające figurę, mimo to wygodne a zabezpieczające doskonale od zimna. Warto pomyśleć o tym sprawunku, gdyż zima się zbliża, a z nią słoty i wiatr przejmujący. *T.*



Dom i kuchnia.

Gruszki, smażone w cukrze na sucho.

Gruszki obrane, jeżeli mniejsze, to całe, jeżeli zaś większe, to przekrawane na pół, gotować na wolnym ogniu, by się nie przypaliły, lub rozgotowały. Do syropu można dodać (kto lubi) pół na pół miodu przasnego. Gdy gruszki będą przezroczyste, wyjąć na lasy lub przetaki i obsuszyć w wolnym piecu, poczem palcami spłaszczać, maczać w pozostałym syropie i znów osuszać, powtarzając to kilka razy dziennie, przez trzy dni, poczem osuszyć zupełnie, a poprószywszy miałkim cukrem, układać w słoje do przechowania.

Przechowanie kapusty.

Tak białą jak czerwoną kapustę, cienko poszadkować, posolić, dodać trochę kminku, wymieszać i z tym sosem jaki puści pakować, wygniatając do beczułek ćwiartkówek. Przedtem beczułkę doskonale wyparzyć ukropem. Gdy jest zapełniona kapustą, denko dopasować dobrze pakiem zalać dokładnie wszystkie szczeliny.

Zatopić baryłkę do studni i tak zachować można kapustę aż do lata w zupełnej świeżości. Nabywa łagodnego winnego smaku.

Kapusta w piwnicy.

Kapustę wyrywać z gruntu i tak jak rośnie ustawiać w piasek w piwnicy, niech jedna drugiej nie dotyka. Można też wyrywaną z gruntu kapustę zawieszać między dwa drągi i główkami na dół. Dotyczy to czerwonej i białej kapusty. Biorąc do użytku, uważać, by brać te główki, których liście wilgotnieją.

Nadawanie połysku paznogciom.

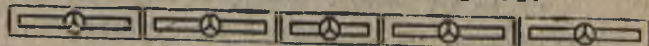
Bardzo prostym, łatwym i niekosztownym środkiem jest sok cytrynowy. Po umyciu rąk, wytrzeć paznogcie cytryną, a potem otarłszy z lekka ręcznikiem, wypolerować suchą skórką irchową. Paznogcie nabiorą silnego połysku, a prócz tego, sok cytrynowy wzmacnia je i usuwa kruchość.

Farbowanie mchu.

Do litra wrzącej wody wsypać 120 gramów ałunu i 60 gramów rozpuszczonej farbki indygo. Mech, starannie oczyszczony zamoczyć w tym płynie, wyjąć, otrząsnąć i suszyć w przewiewnem miejscu lub przy ciepłym piecu, ale zawsze w cieniu.

Na mole.

Zamaczać kawałek brunatnego papieru w terpentynie i umieścić w pudle lub kufrze, gdzie się rzeczy przechowuje. Również proszek na pluskwy skuteczny jest w tym wypadku. Gdzie mole znajdują się w dywanach, należy podłogę zmyć gorącą wodą z solą, zanim się dywany rozłoży i przy zamiataniu tychże również je solą posypywać.



:: HUMORYSTYKA ::

Nie zna siebie.

— Jak się nazywasz? — zapytał sędzia oszusta.

— Nie wiem, panie.

— Jak to nie wiesz?

— Oto widzi pan sędzia: ja jestem z bliźniąt; bo urodziło się nas dwóch i przy chrzcie dano nam imiona Piotr i Paweł; ale jak nieśli z kościoła, był wielki mróz i jeden z nas zmarzł, a ponieważ nie wiem, czy to ja zmarzłem, czy mój brat, dlatego nie wiem, czy jestem Piotr czy Paweł.



Usprawiedliwił się.

— Raju boski! Wiktor! Jak ty wyglądasz łobuzie!

— Hano, proszę taty, wpadłem do kanału łowiąc ryby i powalałem się.

— W nowych spodniach tameś polazł?

— Kiedy tak prędko wpadłem, że nie było czasu zdjąć ich wprzódy.



Zła rada.

Chory: Najprzód byłem u naszego owczarza, co to ziołami leczy, a ten mi poradził...

— Lekarz: Ten wam doradził niemożliwe głupstwo i niedorzeczność! Znam się na tem!

Chory: Poradził mi, bym udał się do pana...



W sądzie.

Sędzia: Już po raz piąty stoisz tu przedemną.

Oskarżony: Nie moja w tem wina, że stoję.

Sędzia: Jakto?

Oskarżony: Ano, bo pan sędzia ani razu nie prosił mnie, abym usiadł.



A to go wziął!

— Ja się zawsze śmieję do rozpuku, ile tylko razy uda mi się powiedzieć jakie głupstwo...

— Ach, jakże ja panu zazdroszczę!... Pan się chyba musi ciągle śmiać?



List miłosny kelnera bilardowego.

Moja ty najdroższa pani!

Nie otrzymując od ukochanej pani żadnej rezolucyi co do naszej partyi, jestem tak zrozpaczony, że tylko pozostaje mi łeb o bandę potłuc i nic więcej!

Wiem dobrze, że na przeszkodzie naszego szczęścia stają rodzice pani, więc najlepiej by było matkę do rogu wpakować, a ze starym to już damy radę!

A jak się pobierzemy, to życie będzie nam tak gładkie, jak sukno bilardowe, a o kręgielki nasze, czyli dzieci, nie potrąci nigdy żadna bila nieszczęśliwych okoliczności...

Antoni.



Zmądrzeli oboje.

Stary kawaler: Jak to czas szybko leci! Toć to dzisiaj minęło dziesięć lat od czasu, kiedy mi pani odmówiłaś swej ręki!

Panna (która kroku tego żałuje): Ach, panie Franciszku, byłam wtedy taka młoda i nierozsądna...

Kawaler: Tak, teraz zmieniliśmy się i zmądrzeliśmy oboje!



Zrozumieli się.

Doktor: Ależ mówiłem wam tyle razy, gospodarzu, że stawiać chlewy dla nierogacizny tak blisko domu, to bardzo niezdrowo! A jednak nie usłuchaliście rady.

Gospodarz: Ady, panie doktorze, jeszcze mi żadna świnia nie zachorowała.



Aby widzieli.

— A więc, panie malarzu — powiada pewien rzeźnik — wymalujesz mi pan tabliczkę i na niej wielkiemi literami: „Sebastyan Kiszka, mistrz rzeźnicki", a w środku wymalujesz pan wielkiego wołu, aby ludzie zaraz zdaleka widzieć mogli, czym jestem.



Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.